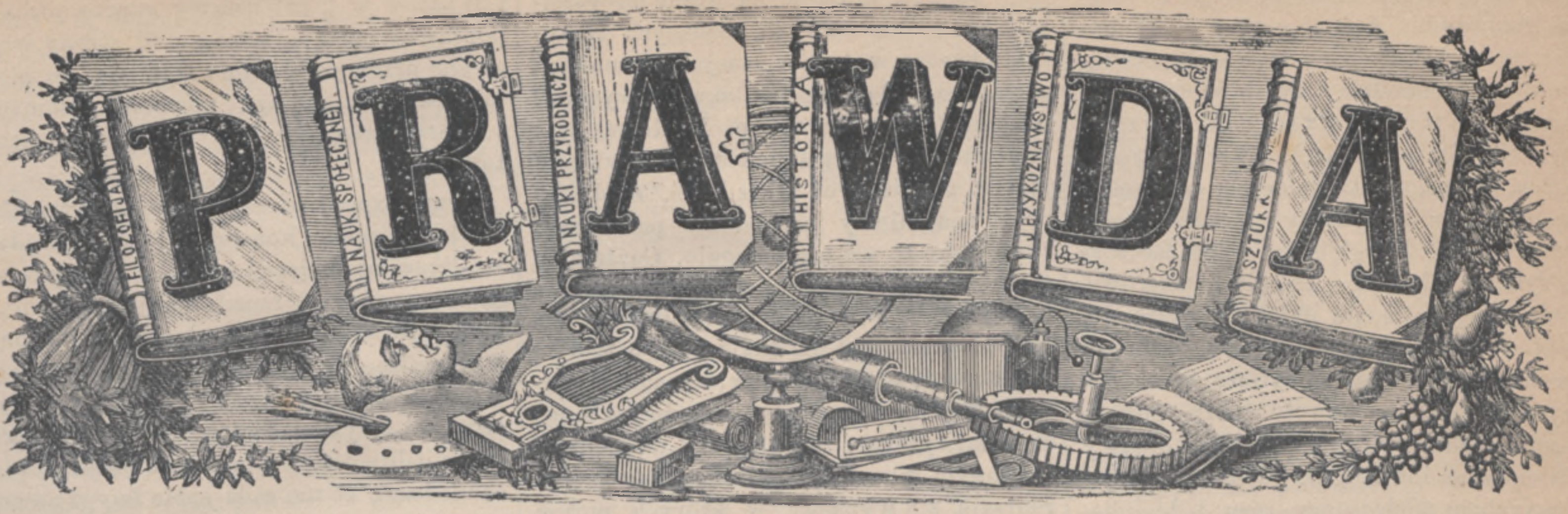
№ 52. Warszawa, dnia 27 (15) Grudnia 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z numerem dzisiejszym *Prawda* kończy czwarty rok swego istnienia. Znaczny zastęp abonentów, który nam od początku towarzyszył, nietylko świadczył o uznaniu dla sił i zasad w naszej pracy czynnych, ale pozwolił oprzeć pismo na podstawie trwałej i rozwinąć je wielostronnie. Czem *Prawda* nasza jest — to dla stałych prenumeratorów naszych nie może być już wątpliwem. Jest ona organem postępowym, w wywodach swoich niezłomnie konsekwentnym, o korzyści kraju, jego dobrobyt, naukę, literaturę, oświatę, podźwignięcie uboższych klas społecznych dbałym, a chociaż na drodze swych starań bywa powstrzymywaną, nigdy z nich nie schodzi.

Nie popełnimy przytem chyba przesady twierdząc, że żadne inne pismo polskie nie przestrzega z większą czujnością, ażeby ten język, którym przemawiamy do czytelników, był czystym, niezakażonym obcemi domieszkami, ani zachwaszczonym w własnem naszem niedbalstwie. Jest to obowiązkiem wszędzie.....

Wzmocniony ruch, jaki zapanował w sprawach społecznych, odbił się odpowiedniem rozszerzeniem tego działu w *Prawdzie*. Wszystkie bieżące zagadnienia ekonomiczne chwili — swoje i obce — staraliśmy się należycie oświetlić lub rozwiązać. Tym sposobem najważniejsze dziedziny życia: naukowa, polityczno-społeczna, ekonomiczna, artystyczna — odsłaniały się przed uwagą naszych czytelników w starannie badanym rozwoju. Zrzekamy się własnego sądu, co warte dla ogółu stanowisko i podjęta z niego praca, ale ze słusznem chyba prawem możemy sobie przyznać, że *Prawda* rzetelnie spełnia swą powinność względem kraju, służy nauce, szerzy cześć dla ideałów moralnych — nie spekulacyą, nie blagą, nie obłudą, ale szczerością przekonań, wiedzą możliwie niczem niefałszowaną, uczuciami czystemi. Dopiero przyszłość kiedyś oceni, kto miał słuszność, a kto się mylił, kto był pożytecznym, a kto szkodliwym, kto posuwał myśl ogółu, a kto ją cofał — do nas należy tylko wierzyć w wartość i godność własnej pracy.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek kwartalny.

OSŁABIONE ZAUFANIE.

Korespondent nasz lwowski w kilku doniesieniach przedstawił czytelnikom *Prawdy* dostatecznie zarzut, podniesiony przeciw członkowi Koła polskiego w wiedeńskiej Radzie państwa, p. Kozłowskiemu, o udział w sprawie Schwarza-Kamińskiego, oraz o przyjęcie „stuligębnego." Oskarżenie to odezwało się dość dawno; dopiero wszakże, gdy redaktor *Kuryera lwowskiego*, p. Rewakowicz, odczytał na zgromadzeniu publicznem wyciągi z akt (pilnie strzeżonych) i gdy w swym organie określił winę jasno, rozpoczęły się spory, protesty, świadectwa, uroczyste zapewnienia, a wreszcie wniosek posła Magga, żądający ponownego śledztwa, co przyjęto jednomyślnie. Głosowało za nim nawet Koło polskie, które inaczej postąpić nie mogło, nie chcąc narażać się na awanturę z lewicą, łaknącą sposobności do rzucania podejrzeń. Od wyznaczonej do tego śledztwa komisyi oczekują dopiero rozjaśnienia prawdy nietylko niemcy, ale i... galicyanie. Nadzieja ostatnich, zawieszona na tej instancyi jest bardzo ciekawym objawem, nad którym zastanowić się warto.

Przedewszystkiem uprzytomnijmy sobie proces w jego ciągu. Gdy po raz pierwszy oskarżono Kozłowskiego, uzyskał on od kilku posłów lwowskich wydrukowane w gazetach poręczenie, że jest niewinnym.

Zaręczenie to nie zdołało przekonać opinii.

Wtedy zaczęły się pojawiać w dziennikach jednostkowe i zbiorowe świadectwa czystości, które szły tak daleko, że w osobie dyrektora Länderbanku wskazały kusiciela, a w osobie ks. Sapiehy pośrednika kuszeń, którym p. Kozłowski miał nie uledz.

Ale opinia dalej wątpiła.

Wówczas wytoczono armatę największego kalibru, która, jak przypuszczano, położy koniec wszelkim pogłoskom, mianowicie wyrok Koła polskiego—i ten strzał okazał się bezskutecznym, zarzutu nie cofnięto.

A więc świadectwa przedstawicieli narodu, wyroki obywatelskie i orzeczenia najwyższej w sprawach sumienia politycznego strażnicy — Koła polskiego — nie miały mocy uniewinnić jednego posła z zarzutu przyjęcia łapówki? Co to znaczy?

To znaczy, że na gruncie, na którym ten cały proces się odbył, zniknęła wiara w rzetelność t. z. sądów honorowych, to znaczy, że opinia pamięta lub domyśla się wypadków, w których usprawiedliwiano Barabaszów, w których dla utrzymania pozorów zdrowia ogólnego, dla zatarcia śladów choroby społeczeństwa, myto kłamliwymi wyrokami brudne ręce, prano zbrukane sumienia i wypuszczano ze świadectwami czystości łotrów, zasługujących na sromotne piętno. Ogół, choć na razie przeciwko takiemu podrabianiu dyplomów honorowych nie protestuje, nietylko zna wartość

wystawionych, ale odmawia kredytu wszelkim przyszłym. Jest on z góry przekonanym, że te obywatelskie trybunały zawiązują swojej Temidzie oczy, ale odbierają jej z rąk miecz i wagi, że dla rozmaitych względów: stłumienia skandalu, celów patryotycznych, wymagań stronniczych, — zwodzą własne sumienie i zasady sprawiedliwości powszechnej. Ta głęboka nieufność rozszerzyła się tak dalece, że sądy państwowe, nawet obce, posiadają daleko większą siłę przekonywającą, niż honorowe, których wyroki przyjmowane są zawsze ze sceptycznym uśmiechem nawet wtedy, gdy są słuszne. Obserwujmy równoległe objawy w Niemczech lub Anglii, gdzie nie potrzeba wyrabiać społecznego różu i bielidła, gdzie powołani do wyrokowania obywatele mają odwagę łotra nazwać łotrem, tam wyroki honorowe są szanowane i decydujące. Tymczasem gdyby we Lwowie Arystydes został oskarżony o skradzenie najświetniejszych gwiazd ze stropu niebieskiego dla naszycia sobie niemi serwety i gdyby dwudziestu posłów sejmowych poświadczyło jego niewinność, opinia nie przestałaby jej kwestyonować. Stare, długiem użyciem wytarte przysłowie o kłamcy, który straciwszy wiarę, odzyskać jej nie mógł, wykazuje tu swoją wielką prawdziwość.

Trudno zaprzeczyć, że takie kłamstwo honorowe bywa często wpływem wspaniałomyślnych pobudek, mianowicie: albo miękkiej dobroci, albo dbałości o interesy społeczne, cierpiące na ujawnianiu przestępstw. Ale zaprzeczyć trudno, że tu osiągnięta korzyść nigdy prawie nie wyrównywa stracie, która jest bardzo wielką. Naprzód tolerancya występku uzuchwala natury złe i kusi słabe; powtóre pozwala w obiegu społecznym krążyć swobodnie jednostkom niegodziwym; potrzecie obniża ogólny poziom wymagań moralnych, wreszcie narusza zaufanie publiczne do wszelkich sądów honorowych, będących instytucyą bardzo ważną i w naszych stosunkach potrzebną. Ostatni ten skutek wystąpił właśnie przy sprawie p. Kozłowskiego. Wydano mu szereg świadectw uniewinniających, podpisanych przez ludzi, śród których znajdujemy osobistości poważne— i wszystko to nic nie pomogło. Czytelnicy tych atestatów nie przysięgliby, że oskarżony winien, jego udziału w łapówkach kolei transwersalnej nie znają, ale o tem są przekonani, że owym poświadczeniom cnoty ufać nie można, że wystawiono już mnóstwo fałszywych, że to są łaty na podziurawionym płaszczu moralności, że ciągle zdarzają się wypadki, w których można niezbitymi dowodami wykazać nadużycia rozmaitych rycerzów przemysłu, a sąd obywatelski ostępluje ich znakiem honoru. Jeżeli p. Kozłowski jest istotnie niewinnym, dziedziczy on smutne następstwa zachwianego kredytu moralnego, osłabionej bezkarnością wiary w rzetelność rachunków, podrabianych przez trybunały honorowe. Społeczeństwo zaś winno w tym objawie dostrzedz bardzo ważną dla siebie przestrogę, winno zerwać nić tolerancyi przewinień w imię źle pojętego dobra ogólnego. Temidzie trzeba zwrócić miecz i wagi...

Z SEJMU NIEMIECKIEGO.

Wniosek poznańczyków w sprawie języka polskiego stanął znowu na porządku dziennym sejmu niemieckiego. W imieniu swej prowincyi i jej przedstawicieli ks. Jażdżewski zażądał, ażeby: 1) „w polskich częściach kraju, przyłączonych do Prus od r. 1772 język polski był równouprawniony z niemieckim" i 2) ażeby w § 187 ustawy zaprowadzono poprawkę następującą: „jeżeli strony wezwane przed prawo nie rozumieją po niemiecku, winien być powołany tłómacz i sporządzony drugi w ich języku protokół."

Przy rozprawach sejmowych powtarzały się dawne sceny: konserwatyści i narodowo-liberalni spojrzeli na rzecz z „wyższego" stanowiska i rzucili swoje niezłomne veto (niezłomne, naturalnie, dopóki ono w Warcinie się nie skruszy), postępowcy zamilkli, katolicy poparli swych sprzymierzeńców, socyalno-demokraci złożyli „hołd sprawiedliwości", a przedstawiciel rządu oświadczył, że nie zada sobie fatygi nawet marnowania słów w tak błahej i niedorzecznej sprawie. Tym razem wszakże wniosek powędrował do komisyi, skąd wróci do sejmu i albo będzie odrzucony, albo— co na jedno wyjdzie—przyjęty. Na jedno dlatego, że ks. Bismark niewiele sobie robi z uchwał parlamentu, które dotyczą niemców, a cóż dopiero miałby kłopotać się ustępstwami dla polaków. Na niepożądane głosowania ma on skuteczne lekarstwo w Radzie związkowej, która kiwnie głowami i projekt pójdzie do archiwum. Cała ta więc wyprawa po słuszność ma tylko platoniczne znaczenie i co najwyżej może nas zajmować, o ile daje sposobność do więcej lub mniej silnych sporów słownych. Na ten raz główne zwycięstwo odniósł energicznem wystąpieniem ks. Radziwiłł, który przemawiał nie jako clegista, ale jako chłodny i realny polityk. „Pan Unruhe-Bomst przypomniał nam słowa kanclerza. Jeżeli ks. Bismark usiłował przedstawić stan opinii publicznej w prowincyach polskich z tej i tamtej strony granicy niemieckiej, nie mogę przypuścić, ażeby on takie (złe) wrażenie wywiózł ze swojej ostatniej podróży bytności w Polsce rosyjskiej. Nakreślonemu przez niego obrazowi, jako-

---

Powieść... prawdziwa.

(Z aktów sądowych).

— Nie dosyć pisać o dynamicie, musimy go zastosować.

Krzyki w gazetach nic nie pomogą, trzeba zabrać się do czynu. Należy jednak wybierać ludzi nieżonatych, ażeby, jeśli będą złapani, partya nie musiała utrzymywać ich żon i dzieci. *Gdybym mógł, wszędzie położyłbym dynamit!*

Tak dowodził towarzyszom swoim człowiek trzydziestokilkoletni, średniego wzrostu, z bladą twarzą, z wystającemi kościami policzków, z czołem w tył cofniętem i oczami płonącemi fanatyzmem. Naokoło jego ust przewijał się cyniczny uśmiech.

* * *

Dnia 27 września 1883 r., w kilkanaście dni po tym wykładzie, drogą, wiodącą z Rüdesheim do wielkiego pomnika, który miał być nazajutrz odsłonięty przez cesarza niemieckiego wobec książąt, dostojników państwa i tłumów narodu, szło ostrożnie dwu ludzi, oglądających się trwożliwie na wszystkie strony. Noc już zapadła, zimny deszcz jesienny mżył ustawicznie, droga więc była pustą. Tylko od miasta zalatywały stłumione odgłosy gwaru przygotowującej się uroczystości. W odległości ćwierć wiorsty od pomnika owi dwaj ludzie zatrzymali się: jeden z nich rozwinął tłomoczek, z którego wyjął kamionkę oraz butelkę i włożył je w otwór drenu, przecinającego w poprzek drogę. Następnie obaj przywiązali do tajemniczego ładunku sznur, który przeciągnęli aż do lasu, przykrywszy go ziemią i liśćmi. Koniec tego sznura przyczepili do drzewa, które przedtem, dla łatwiejszego zapewnie odróżnienia od innych, obejrzeli starannie. Tymże samym gościńcem wrócili szybko do Rüdesheimu.

— Pamiętaj więc — mówił starszy — jak masz zrobić. Gdy cesarz zbliży się na 50 kroków, zapal sznur cygarem i odejdź... Tylko nie cofnij się, bo ja będę pilnował.

Ów starszy nazywał się Emil Küchler, a był robotnikiem, młodszy zaś, liczący lat 20, Franciszek Rupsch—czeladnikiem siodlarskim.

Nazajutrz deszcz padał, ale wkrótce słońce wyjrzało z za chmur. Niezliczone masy narodu spłynęły na miejsce pomnika.

Pod wielkiem drzewem stał Rupsch i palił cygaro.

O naznaczonej godzinie ukazał się cesarz, otoczony świtą. Gdy Rupsch spostrzegł orszak w dostatecznem przybliżeniu, dotknął cygarem sznur i odszedł. Patrzał, czekał z niepokojem i obawą — cesarz przejechał przez dren, w którym był ukryty ładunek, i stanął w namiocie przy pomniku.

Rupsch przecisnął się przez tłum do Küchlera.

— Dlaczego? — spytał ten groźnie.

— Nie wiem — odrzekł — prawdopodobnie hubka na końcu sznura zgasła.

— Przywiąż inną i podpal, gdy będzie odjeżdżał.

Rupsch wrócił na swoje stanowisko, przymocował nową hubkę i czekał.

Po skończeniu uroczystości cesarz jechał tą samą drogą. Spostrzegłszy go na skręcie, Rupsch przyłożył cygaro do hubki. Ale znowu wybuch nie nastąpił — cesarz pospieszył bez przeszkody.

— Co to znaczy? — krzyknął Küchler, gdy tłumy się rozeszły.

— Całą noc deszcz padał, ziemia wodą nasiąkła, sznur przemókł i palić się nie chciał.

— Cesarz udał się do Wiesbadenu. Jedź tam natychmiast i rzuć dynamit.

Ale Rupsch nie chciał.

Wtedy wyjąwszy ładunek z drenu, poszli do Rüdesheimu i wstąpili do zakładu, gdzie miał się odbyć wielki koncert. Już zmierzchało się.

— Trzeba ich zabawić — rzekł Küchler.

Rupsch przystał: zawiązał oba naczynia z dynamitem, położył je zewnątrz gmachu i zapaliwszy resztkę sznura cygarem, oddalił się. Zaledwie odszedł kilkaset kroków — zagrzmiał straszny huk. Kawał budynku został oberwany, wewnątrz sprzęty zdruzgotane, szczęściem publiczność jeszcze nie przybyła na koncert, nikt więc nie zginął.

Obaj towarzysze udali się na dworzec i odjechali do Eberfeldu. Tam ich spotkał ów człowiek, którego naprzód poznaliśmy.

by polacy stali na progu rewolucyi, muszę odmówić wszelkiego uzasadnienia. A może kanclerz miał na myśli nas, polaków pruskich, wspominając, żeśmy każdej chwili gotowi do zbrojnego powstania? Byłby to strach, któremu, o ile moje wiadomości sięgają, brak wszelkiej podstawy faktycznej. Pytam panów, czy pomiędzy zbrojnym buntem a systemem, tłumiącym wszelkie dążenia narodowe w granicach prawa—czy pomiędzy temi dwiema ostatecznościami niema żadnej drogi pośredniej, żadnego gruntu, na którym by się porozumieć można, na którym uwolnilibyście nas od grania roli wesołych komedyantów przed rządem związkowym? Czujemy potrzebę z wami, jako ludzie poważni i praktyczni, uczestniczyć w zadaniach państwa, ale przez spory, jakie tu się toczą, nie dojdziemy do tego celu. Czujemy również potrzebę nietylko frazesami bronić się przeciwko zarzutom o nieprzyjaźń dla państwa. Dajcie nam ku temu sposobność, przyznając minimum tego, czego żądać możemy.“

Sejm, przyzwyczajony do innych, mniej pojednawczych słów ze strony ław polskich, słuchał uważniej, niż zwykle, przemowy ks. Radziwiłła. Ale na tem ograniczył się skutek tej potyczki ze zmienioną taktyką, w której padły tylko drobne strzały, socyalno-demokraci oświadczyli, że chociaż „polacy pomogli w sejmie do nałożenia kajdan narodowi niemieckiemu,“ oni jednak głosują za wnioskiem, konserwatyści kilkakrotnie zajęli „wyższe“ stanowisko i wszystko ucichło—w Berlinie. Bo w Poznaniu nie przestaną odzywać się skargi na ucisk i pogwałcone prawa, na tę poniewierkę najważniejszych potrzeb i najdroższych uczuć, które nowoczesny krzyżak sobie tylko przyznać, w sobie tylko szanować każe.

Pobożne życzenie.

Cokolwiekbądź powiedziećby się dało o przyczynach, wywołujących ruchy społeczne, to pewna, iż najważniejszą z nich jest kwestya niewłaściwego unormowania płac robotniczych. Jak wiadomo, dotychczas ustanawiane są one w sposób dwojaki: albo robotnik otrzymuje pewną kwotę pieniężną za pracę dzienną, bez oznaczenia ilości, jaką w ciągu dnia ma wytworzyć; albo też pobiera wynagrodzenie za pewną oznaczoną ilość roboty, bez względu na czas potrzebny do wytworzenia jej. System pierwszy nie odpowiada wymaganiom ani społeczeństwa, ani pracodawców, ani nawet robotników samych, gdyż przy zastosowaniu go rozmaite stopnie biegłości i pilności robotników wcale nie są brane na uwagę. Co do drugiego znów, ten słusznie przez niektórych przezwany został systemem wyzyskiwania; pod jego panowaniem bowiem płaca, podległa prawu wolnej konkurencyi, obniża się równomiernie z wzrostem zdolności robotnika. To też wszyscy bez wyjątku socyologowie zgadzają się na to, że oba te systemy zarówno są złem, ciążącem na współczesnych stosunkach ekonomicznych, podtrzymującem i utrwalającem rozdział pomiędzy klasami społecznemi. Ale, jak złemu zaradzić—w tej mierze napotykamy nieskończone różnice w poglądach.

Pomijając bezrobocia, które od czasu do czasu w celu osiągnięcia podwyższenia płac urządzają robotnicy sami i które, pomimo walk i poświęceń, jakich wymagają głównie z powodu faktycznej przewagi kapitału nad pracą, kwestyi rozwiązać nie są zdolne? Warto posłuchać, co o tym przedmiocie mówi teorya.

Teorya ta dosyć jasno została przedstawioną w świeżo wydanej książce niemieckiej H. Petersa*). Autor nie goni za oryginalnością. Zapowiada z góry, że pracę swoją opiera na pojęciach społeczno-ekonomicznych Rodbertusa i zapowiedzi tej pozostaje wiernym aż do samego końca, wykładając i wyjaśniając mistrza, co zaś do płac w szczególności—ograniczając się na podaniu kilku uwag własnych, mających umożliwić wykonanie zasad w praktyce.

„Głównym celem poszukiwań moich—powiada Rodbertus — jest podwyższenie udziału klas pracujących w dochodach narodowych—i to na trwałej, od wpływu rozmaitych przypadków w przemyśle niezależnej podstawie. Pragnę, aby i ta klasa również uczestniczyła w postępie produkcyjności i aby zniesionem zostało prawo, które w razie przeciwnym może się kiedyś stać zabójczem dla stosunków naszych, mianowicie prawo, że, choćby produkcya najbardziej się zwiększyła, robotnicy siłą ruchu przemysłowego wciąż spychani będą do normy wynagrodzenia, nieprzechodzącego najkonieczniejszych ich potrzeb, wykluczającej ich od wszelkiej oświaty wieku, normy, stanowiącej najbardziej rażącą sprzeczność z dzisiejszem ich stanowiskiem prawnem, z mniemaną ich równością z innemi klasami.“

Wykazuje dalej, że przy dzisiejszej organizacyi społecznej wszelkie ulepszenia w fabrykacyi, przemyśle, komunikacyach, rolnictwie itd. a tem samem i osiągnięte za ich pomocą zwiększenie bogactwa narodowego, idą wyłącznie na korzyść przedsiębiorców, kapitalistów i właścicieli ziemskich, bez najmniejszego wpływu na poprawienie losu robotników, którzy pracą swą głównie do tego zwiększenia się przyczyniają. Rodbertus radzi przedewszystkiem ograniczyć dzień roboczy do pewnej liczby godzin, która różną być powinna dla różnych rzemiosł, stosownie do natężenia i siły, jakich wymaga praca w każdym z nich. Ma to być tak zwany „normalny dzień pracy,“ obok którego należy jeszcze oznaczyć normalny zakres roboty, to jest unormować ilość pracy albo usług, jakie w ciągu takiego dnia w każdem zosobna rzemiośle dostarczyć może przeciętny robotnik przy średniej wprawie i pilności. Gdyby on po upływie całego dnia normalnego zdążył wykończyć tylko połowę roboty, otrzymywałby tylko połowę zapłaty należnej; gdyby dostarczył półtora raza tyle, ile wynosi robota normalna, brałby zapłatę za półtora dnia.

Określenie norm powyższych powinno-

*) *Ein Beitrag zur Lohn-Reform.* Tübingen. 1884.

Gdy mu opowiedziano wszystko, zauważył krótko.

— I mnie to zdarzyć się może.

* *
*

Ale kto jest ów „on?“

Anarchista — przyjaciel Hödla, Kammerera, a nadewszystko słynnego furyata Mosta. Z początku należał do socyalnej demokracyi, ale gdy się przekonał, że ona nie dąży do jego „ideału,“ został anarchistą. W Lipsku udzielał nawet lekcyj prywatnych w tym przedmiocie. Wyobrażał sobie pewien pożądany stan społeczeństwa, ale tymczasem podkładał dynamit, „gdzie można.“ W r. 1884 chciał wysadzić w powietrze zakład kuracyjny Wiesbadenu, przygotował opisany wyżej zamach na cesarza itd. Raz powiedział do jednego ze swych przyjaciół, że jemu nie wypada samemu „działać“ i że woli wyręczać się innymi. Była to zasada, której przestrzegał dość konsekwentnie i dla której nie pojechał sam do podłożenia miny przy pomniku, lecz wysłał Rupscha i Küchlera. Namiętnie lubił wybuchy dynamitowe. Gdyby mu się udało w ten sposób zburzyć jakieś muzeum, kościół, bank, dworzec, okazałą restauracyę, byłby niezmiernie zadowolonym. Prowadził korespondencyę rozległą ze wszystkiemi gniazdami anarchizmu, a chociaż kilkakrotnie odsiadywał kozę, umiał się z niej wykręcać. Musiał obrzydnąć nawet socyalistom, kiedy zurichski *Social-Demokrat* napisał raz o nim: „Do dobrych przyjaciół p. Mosta należy niejaki Reinsdorf, *alias* Bernstein, *recte* Steinberg, człowiek, który już przedtem odznaczył się w Niemczech waryacką wściekłą gadaniną.“

Rzeczywiście człowiek ten nazywa się Karol Reinsdorf, z zawodu zecer.

* *
*

Wraz ze wspólnikami swymi a raczej ofiarami zasiadł on w Lipsku na ławie oskarżonych. Oprócz Rupscha i Küchlera pociągnięto do odpowiedzialności: Söhngena, Rheinbacha, Töllnera, którzy pomagali im w przygotowaniach do zamachu. „Spojrzawszy na podsądnych — mówi jedna z gazet niemieckich — trudno uwierzyć, że widzimy ludzi, którzy chcieli popełnić tak wielką zbrodnię. Nie są to bynajmniej twarze przestępców, przeciwnie maluje się na nich jakaś dobroduszność, rzekłbyś, że żaden z nich muchy by nie zabił. Wyjątek stanowi tylko Reinsdorf.“

Bo ów Reinsdorf jest rzeczywiście innym, niż ci „wykonawcy jego woli.“ To profesyonista, maniak czy fanatyk, w każdym razie człowiek, którym owładnęła jakaś furya zniszczenia. Mniej on się zapala do wymarzonej szczęśliwości, niż do środków, którymi chciałby ją sprowadzić. Pierś mu się rozszerza dopiero po wchłonięciu pary dynamitowej. Gdyby dziś spełniono wszystkie jego życzenia, jutro zacząłby myśleć o wysadzeniu kogoś w powietrze. Epoka nasza rodzi coraz częściej takie istoty, łaknące morderstw, burzeń, spisków, istoty, które w braku innej sposobności podkładają miny pod sale koncertowe — dla rozrywki.

Może taki Rupsch byłby spokojnym człowiekiem, gdyby nie zetknął się z Reinsdorfem. W zeznaniu przed sądem upewnia, że nie deszcz, ale on udaremnił zamach, przeciąwszy tajemnie sznur, prowadzący do ładunku. Jest to zapewne wspaniałomyślność w więzieniu zdobyta, ale w każdym razie człowiek ten robi lepsze wrażenie od swego herszta. Nie rozwija przed sądem „programu,“ owszem korzy się, ale za to nie grał roli pająka, ukrytego w siatce, gdy głupie muchy się plątały. Rolę tę — przyznajmy — najwygodniejszą zachował dla siebie Reinsdorf: jemu nie wypadało być czynnym przy podkładaniu dynamitu — on tylko kierował zdala robotą. A jednakże ta odległość od niej nie została mu policzoną...

* *
*

Dnia 22 grudnia ogłoszony został wyrok.

Reinsdorf, Rupsch i Küchler skazani zostali na śmierć, Bachman i Holtzhauer, którzy im pomagali, na dziesięcioletnie więzienie w domu poprawy, resztę uniewinniono.

Tak się zakończyła ta powieść... prawdziwa, która dziś życie często snuje a snuje z daleko większą fantastycznością, niż by to wyobraźnia pisarska uczynić mogła.

by wyjść od państwa, które również ma obowiązek wprowadzić pewną stopę płacy za robotę normalną (*Lohnsatz*), skłonić do umowy w tym względzie pracodawców z jednej i pracowników z drugiej strony. Tak ustaloną stopę płacy wypadałoby periodycznym poddawać rewizyom i w miarę podnoszenia się produkcyjności pracy również podwyższać. W ten sposób, zdaniem Rodbertusa, które w zupełności podpisuje Peters, wytworzyłby się sprawiedliwy system płac robotniczych, łączący następujące zalety: 1) lepszego robotnika wynagradzałby lepiej, niż gorszego, a więc równoważyłby ze sobą wzajemne prawa i interesy robotników; 2) chroniłby społeczeństwo od przymusu wynagradzania złych na równi z dobrymi, a zatem godziłby prawo i interes robotników z takiemże prawem i interesem społeczeństwa; nakoniec 3) sprawiłby, że płaca robotnicza wogóle wciąż by wzrastała wraz z wzrostem produkcyjności narodowej i dochodu obu klas posiadających.

Przy podobnym systemie jednak zachowanie pieniędzy metalowych, jako miary wartości, jest nieodpowiedniem. Pieniądze to bowiem, same będąc towarem, wyprodukowanym przez pracę, zarówno jak każdy inny towar, podległe są zmianom w produkcyi i cenach a z tego powodu do trwałego oznaczenia wartości służyć nie mogą. To też Rodbertus proponuje zastąpienie tej miary ilością pracy, na wytworzenie danego przedmiotu wyłożonej, która według niego jest jedyną, od zmiennych ewentualności niezależną miarą wartości. Innemi słowy: każdy robotnik zamiast pieniędzy ma otrzymywać poświadczenie takiej ilości pracy normalnej, jaką w produkcyi swojej rzeczywiście dostarczył. Poświadczenia te mają być dawane w formie biletów płacy (*Lohnzettel*).

Ponieważ dziś — mówi Rodbertus — nikt nie bierze pieniędzy dlatego, że w nich już znajdujemy wynagrodzenie za produkcyę, ale dlatego, że przyjmując je, ma pewność, iż przy ich pomocy wynagrodzenie to osiągnie, a pewność tę daje mu wartość towarowa pieniędzy, łączących wszelkie warunki środka likwidacyjnego — wypływa stąd, że nietylko towar jest środkiem likwidacyjnym, lecz, że może nim być i bilet na płacę, o ile wyraża wartość przedmiotów i daje rękojmię, że wyrażona w nim wartość rzeczywiście została wytworzoną i istnieje. Bilet więc taki, mieszczący poświadczenie jednego dnia, czternastu dni lub jakiejkolwiek dowolnej ilości pracy, zarówno może służyć za oznaczenie i przekaz pewnego stopnia wartości, jak dana ilość metalu, na której wybitą jest waga $^1/_{14}$ marki, czy 1 marki, czy wreszcie wyrażenie talar lub 14 talarów. W tem miejscu Rodbertus znów ucieka się do pomocy państwa, które powinno: 1) zastrzedz dla siebie wyłączne prawo puszczania w obieg biletów płacy, czyli pieniędzy zarobkowych; 2) w pieniądzach tych udzielać pożyczki pracodawcom, stosownie do liczby robotników, jaką w przedsiębiorstwach swych zatrudniają, z obowiązkiem zwracania owych zapomóg wartościami, wyprodukowanemi przy zastosowaniu się do pracy normalnej; 3) urządzić składy dla otrzymywanych w ten sposób produktów, i 4) nakoniec brać od robotników za produkty te bilety na płacę według raz ustanowionej ich wartości. W razie konsekwentnego przeprowadzenia organizacyi takiej, państwo mogłoby w tych pieniądzach (biletach) dawać bardzo tani kredyt pracodawcom, któryby ułatwił im możność współzawodniczenia z zagranicą i z tego powodu już zyskałoby się całkowitą przychylność ich dla tego rodzaju urządzenia. Reformy w tym duchu przedsiębrane, mają, zdaniem Rodbertusa, sprowadzić podniesienie się realnej płacy robotniczej w stosunku prostym do wzrostu produkcyjności i tym sposobem na zawsze zapobiedz przesileniom handlowym i pauperyzmowi.

Przytoczywszy cały ten wywód, Peters od siebie dodaje, że pożądanem by było, aby „dopóki jeszcze pieniądze metalowe służą za miarę wartości," w tych pieniądzach wyrażanym był mniejszy lub większy stopień natężenia pracy w rozmaitych rzemiosłach, to jest, aby płaca robotnicza w stosunku do stopnia tego ustanowioną została po 25, 30, 35, 40, 50 itd. fenigów za godzinę. Przy takim systemie robotnik zdolniejszy zarabiałby stosunkowo więcej, aniżeli mniej zdolny. W rzemiośle stolarskiem naprzykład, jeżeli normalnie na zrobienie drzwi, przypuśćmy, potrzeba godzin 36, a płaca za godzinę pracy wynosi 30 fenigów, a więc za całość 10 marek 80 fenigów—robotnik silny i biegły, który dla wykonania całej pracy potrzebuje tylko 30, lub nawet 25 godzin—w pierwszym razie zarabiałby 3 marki 60 fenigów dziennie (licząc 10 godzin na dzień), w drugim 4 marki, 32 fen., podczas gdy robotnik niedołężny, potrzebujący na zrobienie drzwi godzin 40 lub 45, zarobi dziennie tylko 2 marki, 70 fenigów, albo 2 marki, 40 fenigów.

Środki, proponowane przez Rodbertusa, a za nim przez Petersa, dwie głównie słabe mają strony. Nie uwzględniają tego, że dopóki istnieć będzie konkurencya, niepodobna wymagać od przedsiębierców, aby tak samo płacili za robotę, gdy stosunki handlowe są im nieprzychylne, jak, gdy rzecz się ma przeciwnie—czyli, że równomierny wzrost płac robotniczych odpowiednio do zwiększenia się produkcyjności, jest prawie niemożliwym. Spuszczają nadto z uwagi tę ważną okoliczność, że, jeżeliby nawet możliwem było do osiągnięcia podwyższenie płac robotniczych, w miarę podnoszenia się stopnia produkcyjności narodu, to i w takim razie płaca każdego robotnika, pojedynczo wziętego, wcaleby nie powiększyła się, gdyż faktem jest, że liczba robotników w większej części krajów Europy wciąż postępuje, czyli, że przyrost produkcyjności wystarczałby jedynie na pokrycie przyrostu co do liczby.

To też plany te, jako niewykonalne, należą tymczasem do pobożnych życzeń.

Ad. J. Cohn.

Z dziedziny przemysłu.

I.

Stalownia warszawska i pozakrajowe jej towarzyszki.

Ważniejsze firmy przemysłowe Królestwa mają, jak wiadomo, oddawna swoich agentów, lub też składy własnych wyrobów w większych miastach Cesarstwa. Fakt ten nie był nam obcy, kiedyśmy niedawno poruszali w *Prawdzie* sprawę rozszerzenia zbytu naszych wyrobów na rynkach rosyjskich. Z tem większem też zadowoleniem zaznaczamy, że w lecie r. b. Stalownia warszawska umieściła w Charkowie agenta, który prawdopodobnie będzie też reprezentował drugą poważną firmę warszawską, a mianowicie Towarzystwo akcyjne Lilpop Rau i Löwenstein.

Dotychczas bawili w Charkowie podczas głośnego październikowego jarmarku agenci zakładów przemysłowych polskich czasowo, a niekiedy stale—jak np. przedstawiciel fabryki Żyrardowskiej, nie licząc tych, kręcących się ustawicznie, drobnych komisantów, najczęściej żydów, którzy cały rok dają się widzieć tu i owdzie w miastach rosyjskich, i rozpowszechniają wyroby Królestwa polskiego, a często kompromitują jego przemysł.

Wspominając o tym fakcie, który jakkolwiek jest drobny, wszelako znamionuje rozwój przemysłu mechanicznego—nie możemy pominąć daleko donioślejszego objawu w tejże dziedzinie, lecz na innym gruncie. W Petersburgu świat przemysłowy zajmował się w ostatnich dniach sprawą znanej fabryki *Baltijskij Zawod*, zasłużonej na polu budowy statków dla marynarki rosyjskiej, która przeszła na własność rządu. W przebiegu ostatnich dwóch lat, trzeci już pierwszorzędny zakład mechaniczny zlikwidował interesy i zmienił właściciela: w r. 1882 fabryka Putiłowa*), na początku roku bieżącego, fabryka lokomotyw Siemiannikowa, a teraz wyżej wspomniana. Są to zakłady największe w Rosyi, oddane całkowicie przemysłowi krajowemu, a wszystkie, jak widzimy, nie mogły się utrzymać o własnych siłach i bądź przeszły w posiadanie rządu, bądź też syndykatu bogatszych firm prywatnych. Objawy to naturalne tam, gdzie istnienie przemysłu mechanicznego zawdzięcza wszystko rządowi, a bardzo mało przedsiębiorczości prywatnej. Wielostronność i brak specyalizacyi są również czynnikiem pędzącym go do ruiny. To też życzyć wypada, by smutny przykład fabryk rosyjskich umocnił nieliczne, ale dobre nasze, na drodze poważnego rozwoju, którym się dotychczas szczycą.

II.

Przemysł naftowy kaukazki na tle ogólnego prądu przemysłowego w Rosyi.

Telegramy doniosły z Baku, że zjazd przemysłowców w tem mieście uchwalił, jako najdonioślejsze, poniższe wnioski. 1) Zabronić wywozu nafty surowej zagranicę, 2) urządzenie naftociągu od Baku do Poti (czyli od morza Kaspijskiego do Czarnego) jest przedwczesne, zwłaszcza, że środki transportowe kolei zakaukazkiej, łączącej te dwa punkty, nie są dotychczas należycie wyzyskiwane; i 3) w razie, gdyby naftociąg został zbudowany, to dla uniknięcia monopolu, powinien być własnością rządu lub też przedsiębiorstwem publicznego użytku—takiem, jak koleje.

Ogłoszenie tych wniosków, łącznie z agitacyą, podtrzymywaną oddawna w prasie rosyjskiej, maluje nam obraz walki, prowadzonej od kilku lat, coraz ostrzejszej, a skierowanej przeciwko rozwijającemu się szybkim krokiem monopolowi. Nawet nie wtajemniczeni mogli się domyśleć, o co idzie, czytając w innej depeszy z Baku, że znany przemysłowiec Nobel udziału w obecnym zjeździe nie przyjął.

Przemysł naftowy kaukazki z olbrzymią firmą braci Nobel jest najdonioślejszym może objawem w świecie wielkich przedsiębiorstw nietylko rosyjskich, lecz zarazem angielskich i amerykańskich. Specyalnie dla świata rosyjskiego jest on ważnym nietylko ze względu na postęp techniki, co stanowi jedyną dobrą jego stronę, lecz oprócz tego z powodu formy, w jakiej się objawia—formy olbrzymiego monopolu, formy, której pierwszym i ostatnim wyrazem jest „kapitał," znamionujący pomimo wszystko, co się obecnie pisze—bieżącą dobę ekonomiczną państwa. Dzisiaj firma rzeczona, wartością inwentarza i obrotów równa się pierwszorzędnym towarzystwom kolejowym—z tą różnicą, że te milionowe obroty przynoszą przedsiębiorcom ogromny procent, podczas gdy towarzystwa kolejowe biorą procent poręczany od rządu, bo często zysku czystego prawdziwie nie mogą wyciągnąć z eksploatacyi.

W r. 1882 byliśmy świadkami niezbyt parlamentarnej sceny w Towarzystwie Technicznem w Petersburgu., kiedy p. Ludwik Nobel, naczelnik firmy, występował publicznie z rehabilitacyą niejako swojej działalności, do czego skłoniła p. N. burza, podniesiona w tej instytucyi przez p. Ni-

---

*) Syndykat, który ją nabył, składa się ze Stalowni warszawskiej i pewnego towarzystwa rosyjskiego.

koładze, stawającego w obronie rzeszy mniejszych i drobnych przemysłowców nafty, „których nie można przecież wydać żywcem na łup wielkiego monopolu." P. Nobel nazwał przeciwnika „jakimś Nikoładze," ten znów p. Nobla — „znakomitym Noblem," a nieboszczyk *Gołos* mocno był tą niegrzecznością zgorszony, co mu zresztą nie przeszkodziło wydrukować zapowiedzi monopolisty, która się streszcza w tych słowach: 1) Dla zapewnienia rozwoju przemysłowi naftowemu rosyjskiemu, potrzeba otworzyć mu drogę zbytu zagranicę (porównaj odnośny wniosek zjazdu bakińskiego) i 2) dla ułatwienia zbytu zagranicę—potrzeba, żeby cena nafty w Carycynie, skąd może się rozchodzić koleją po całej Europie, nie przenosiła 50—55 kop. Ponieważ zaś wtedy cena jej w Carycynie wynosiła 70 kop. przeto p. Nobel z całą potęgą głosu dodał, że jeżeli potrzeba będzie zniżyć cenę, to „zostanie zniżoną, cokolwiek bądź będą mówić przeciwnicy..."

Dictum—factum. Obecnie, w r. 1884 postać się zmieniła o tyle, że nie należy udawać się po naftę do Carycyna, lecz o 800 wiorst bliżej. W lecie tego roku skończona została budowa olbrzymiego składu tej firmy o 16 wiorst od Orla (St. Domnino Orł.-Griazkiej dr. żel.). Skład może pomieścić 4 miliony pudów nafty, i ze względu na wymiary oraz technikę—zasługuje na uwagę nietylko specyalistów, lecz każdego ucywilizowanego turysty. Niewątpliwie, jest on krokiem stanowczym na drodze urzeczywistnienia myśli p. N., wygłoszonej w r. 1882. Zresztą postęp tego przedsiębiorstwa datuje się od chwili założenia w r. 1874 i oznacza się coraz godniejszymi podziwu dla swej śmiałości krokami. Jest już faktem niezawodnym i nieprzesadzonym, że Kaukaz w osobie firmy Nobel nie potrzebuje uczyć się w Ameryce, lecz Ameryka może wiele się nauczyć na Kaukazie. Naftociąg, prowadzący od źródeł oleju skalnego do dystylarni, parostatki—cysterny, kursujące między Baku, a Carycynem, wagony—cysterny rozrzucone na całej sieci dróg żelaznych rosyjskich i naszych—w końcu skład w Domninie—są to rzeczy klasyczne, są to ostatnie słowa techniki i przemysłu. Takich urządzeń tu—na tym Wschodzie—nie podejrzywamy nawet u siebie...

Zapotrzebowanie nafty w całem państwie dosięga cyfry przeszło 12 milionów pudów; z tej ilości większa część przypada na firmę braci Nobel, reszty dostarczają inne—mniejsze.

Najdalej w głąb państwa, a od lata roku bieżącego i zagranicę dostaje się nafta Nobla. Firma bowiem oprócz głównego—pod Orłem—posiada 32 składy w różnych miastach Cesarstwa i w Warszawie. Do większych należą: astrachański, carycyński, saratowski i warszawski; mniejsze zaś: moskiewski, petersburski, kijowski itd. Mając tym sposobem zapas w różnych częściach państwa, przeznaczyła naftę z tegorocznej kampanii zwiezioną do składu centralnego na użytek prowincyj polskich a głównie zagranicy. Świeżo pobudowane w Berlinie wagony —cysterny i założone tamże Towarzystwo *Naphta-Import Gesellschaft* pozwalają rozwinąć odrazu handel z Niemcami, co też raźnym postępuje krokiem. W Wiedniu firma bankierska *Lindheim et Comp.* pośredniczy w przywożeniu do Austryi produktu kaukazkiego, a jak się przekonałem naocznie, w ostatnich tygodniach lata i jesieni, znaczne transporty co kilka dni wyprawiano z pod Orła do Brodów*).

Czy jednak da czytelnik wiarę, że wielu mieszkańców, sąsiadujących z owemi olbrzymiemi składami, uskarża się na brak dobrego materyału oświetlającego? Istotnie, z rozwojem przemysłu naftowego na Kaukazie, co, jak dotychczas, znaczy—z rozwojem monopolu firmy Nobel nafta krajowa wyparła amerykańską, trochę droższą wprawdzie, lecz lepszą i — publiczność znalazła się na łasce i niełasce monopolu. Zdawało by się, że mając rozwinięty przemysł własny, można będzie, jeżeli nie lepszy towar, to przynajmniej taniej kupować tak niezbędny w życiu domowem produkt. Stało się inaczej. Monopol, zagarnąwszy rynki w swoje ręce i mając wyrachowanie dbać więcej o ilość, niż jakość, zalewa kraj produktem podrzędnej wartości, a dla tych, którzy płacić chcą lub muszą, przygotował nowy—podwójnie droższy. W każdym numerze gazet rosyjskich czytamy ogłoszenia firmy br. Nobel o pironafcie i oleofinie, produktach, które kosztują dwa razy tyle, co nafta, lecz w braku dobrej nafty muszą być kupowane. Że zaś nafta kaukazka wyparłszy z Rosyi amerykańską zawojuje niebawem rynki Europy środkowej, rzecz pewna i przez amerykanów już przepowiedziana.

Przyszłość jej dla tego jest wielką, że tkwi nietylko w znaczeniu nafty jako materyału oświetlającego, lecz zarazem w innem spożytkowaniu. Angielskie czasopismo techniczne wyraża obawę, że stanie się ona groźnym współzawodnikiem węgla angielskiego na morzu Śródziemnem i na wybrzeżach wschodnich, nie mówiąc już o morzu Czarnem. Przewidują też, że flota rosyjska na tem morzu odrodzi się z wielkim udziałem tego czynnika przemysłowego. Na kilku drogach żelaznych rosyjskich (zakaukazka, griazi-caricyńska) nafta służy jako paliwo dla parowozów, a postępy techniki w tem zastosowaniu zwróciły już uwagę czasopism technicznych za granicą. Zarazem astralina, pironafta, oleofina wyrugują zupełnie naftę z lamp (nim je zastąpi elektryczność), a nafta wyparuje węgiel i drwa z pieców wszelkiego rodzaju. Należy mieć przytem na względzie, że wszystkie te produkty oświetlające stanowią tylko $^1/_3$ oleju skalnego dobywanego z ziemi, a pozostało to jest $^2/_3$ części uchodzą za resztki, z których dotychczas w szczupłym zaledwie zakresie przemysł rosyjski korzystał. Tymczasem wydobywać z nich można: łoj mineralny i olej min., które jako smary zastępują z pożytkiem łój zwierzęcy i olej roślinny, dalej otrzymujemy z nich delikatne tłuszcze — jak np. *Vaselina* — a wreszcie farby anilinowe. Na zużytkowanie w tym kierunku resztek oleju skalnego sfery naukowe rosyjskie zwróciły uwagę—(Miendielejew, Lisienko i inni), a jednak podobno po 6 mil. pudów tych resztek z każdego roku zalega bez użytku okolice Baku.

Prawdziwie godnym jest najpilniejszej uwagi szybki i gwałtownymi krokami posuwający się przemysł naftowy kaukazki. Jako pole postępu techniki jest on dla kraju rzeczą nieocenioną. Jako przedsiębiorstwo przemysłowe w formie monopolu, którą przybrał, stanowi objaw, nasuwający wiele do myślenia, a poniekąd groźny. Posłuchajcie, ilu to ludzi poszło o kiju dzięki ulepszeniom, zaprowadzonym przez Noblów, i porównajcie te łzy i narzekania z pożytkiem, nie firmy—lecz konsumentów. Widzieliśmy że ci ostatni, oprócz postępów techniki, której dobrodziejstwa służą szerszemu kołu, nic więcej nie zyskali. Trudno dopatrzeć korzyści dla mas z wywozu nafty zagranicę. Słowem, dzieje się w tym wypadku tak samo, jak zwykle—w razie monopolu. Walka z monopolistami przybiera tymczasem coraz szersze rozmiary, a najświeższym jej wyrazem był wyżej wspomniany zjazd w Baku.

Podobno p. L. Nobel sam jest tego zdania, że czas żniwa dla wielkiego interesu nie będzie trwałym i przeminie wkrótce, ustępując pola drobnym konkurentom, których będzie wielu. Więc póki czas, potrzeba korzystać. A przecież takie rozumowania, widoki i rezultaty nie są w Rosyi faktem odosobnionym.

Rolnictwo upada—podbija je Ameryka; lecz przemysł wielki, monopolistyczny wzrasta i na polu nafty podbija Amerykę. Zdawałoby się, że wet za wet—i nie ma straty. Lecz tak nie jest. W produkcyi rolnej mają udział posiadacze drobni—lud, którego miliony są właścicielami, choć 2, choć 3 mórg ziemi. A w przemyśle wielkim, robotnik, czyli tenże lud żadnej własności niema. Wyzujcie go z ziemi i zróbcie z masy ludu rolnego masę roboczą, a stosunki się zmienią, zaostrzą. Tak powstaje „kwestya robocza." Szczęściem w Rosyi zapobiegają jej dotychczas wyjątkowe warunki naturalne, a w cięższych chwilach takie paliatywy, jak nasze bezpłatne obiady. Lecz zawsze tak być nie może, a przemysł monopolistyczny zawsze swe złe skutki wywiera.

III.

Pamięci bar. Stieglitza.

Przemysł wielki w Rosyi poniósł stratę w osobie najbogatszego w tym kraju bankiera i właściciela wzorowych (znamy je w naturze) przędzalni, oraz fabryk sukna w Petersburgu i Narwie. W historyi skarbowości rosyjskiej nazwisko jego połączone jest z budową kolei mikołajowskiej (Moskwa-Petersburg), dla której dostarczył kapitałów i z wojną krymską, na prowadzenie której również wynalazł fundusze. Naturalnie—obecny dług państwa powstał w znacznej części tą drogą i datuje się od owej chwili. Nie przeszkodziło to zmarłemu zająć stanowisko dyrektora banku państwa, ofiarowane mu zaraz po założeniu tej instytucyi. Tu popełnił St. błąd, który naraził skarb na znaczne straty. Gazety rosyjskie szanując pamięć zmarłego, nie zwróciły uwagi na jakieś fatum, które kazało państwu drogo opłacać, dobrodziejstwa jemu zawdzięczane. Tak np. kolej mikołajewska stała się źródłem takich nadużyć, że, czego rok temu nikt nie przypuszczał; dziś główny akcyonaryusz akcye swoje sprzedał w inne ręce—tak dalece opinia publiczna przyparła do muru nieuczciwie działających aferzystów. Pokrewieństwo, zresztą, dalekie i nie dające się ująć w ścisły związek przyczyn i skutków.

Majątek swój 120 milionowy przeznaczył osobom prywatnym, a kilka milionów na założoną przez siebie szkołę rysunków, która jest jedynym w Rosyi zawiązkiem kwitnących we Francyi—*des arts décoratifs.*

Charakterystyczne jest to, że będąc luteraninem, zbudował z dobrze pojętego interesu piękną cerkiew dla robotników w Narwie, a potem tak się przywiązał do idealnego znaczenia tej fundacyi, że kazał się w niej pochować.

A. P.

*) Każdemu, kogo przemysł Galicyi obchodzi, nasuwa się pytanie: czy autonomia krajowa pozwala sejmowi przedsięwziąć kroki, ku ograniczeniu wwozu nafty kaukazkiej? Potrzeba nałożyć lub podwyższyć cło, potrzeba powiększyć normę taryfy kolejowej, są to rzeczy, których napróżno szukaliśmy w sprawozdaniach ostatniej sesyi sejmu, który przyjął, jak wiadomo, uchwały zapewniające, bardziej racyonalne dobywanie nafty i usunięcie dotychczasowego „rabunku." A nie można wątpić, że przywóz do Galicyi nafty kaukazkiej skoncentrowany w Brodach, i rola, jaką odgrywa w tym interesie wiedeńska firma *Lindheim et Comp.*, są to rzeczy znane we Lwowie.

PAN RYKOW.

Pośród kradzieży i roztrwonień publicznego grosza, jakie wyszły na jaw w ciągu lat ostatnich, katastrofa banku w Skopinie zajmuje wydatne miejsce ze względu

na swe rozmiary. Dwanaście z górą milionów deficytu, na pokrycie którego pozostało w kasie 4600 rs., i całe stosy weksli bez wartości, tysiące poszkodowanych, przeważnie ludzi niezamożnych, którzy złożyli drobne swe oszczędności, wreszcie cały szereg nadużyć i oszustw, spełnianych bezkarnie w ciągu lat kilkunastu—wszystko to usprawiedliwia zainteresowanie się sprawą skopińską. Dziś gdy jej epilog rozegrał się już w sądzie moskiewskim i winowajcy ponieśli zasłużoną karę, możemy bliżej rozejrzeć się w niej, przedstawia bowiem ona dla obserwatora ciekawe zjawisko.

Nie obchodzą nas tu bynajmniej szczegóły finansowe, ale jedynie strona życiowa procesu, zbadanie tego gruntu, na którym wyrastają takie banki skopińskie, tej atmosfery moralnej i społecznej, która pozwalała im rosnąć, krzewić się i doczekać katastrofy, która zrujnowała nie bank tylko, ale i tysiące łatwowiernych a chciwych.

Znany publicysta rosyjski Hleb Uspienskij w jednym z ostatnich swych utworów z artystyczną intuicyą stworzył obraz, dokładnie przedstawiający tę kredytową orgię i wpływ jej zgubny na dobrobyt i moralność otoczenia. Czytając sprawozdania z ostatniego procesu, widzimy zupełne podobieństwo w najdrobniejszych nawet szczegółach. Upadek banku skopińskiego w niczem nie przypomina europejskich „krachów“ finansowych. Bank ów powstał, jak i wiele innych w owym czasie, niewiadomo na co i dla kogo. „Rozszerzenie wytwórczości,“ „Ameryka,“ „ryzyko“ itp. „wiele różnych takich wyrazów bełkotano wtedy“ — wyraża się obrazowo bohater opowiadania, kupiec Tarakanow. Z krzywdą ubogich mieszkańców zebrano kapitał zakładowy, kilku sprytniejszych oszustów wzięło w swe ręce dyrekcyę banku i monopol kredytu, całe miasto znalazło się w zależności od nich, w handlu zaczęła się konkurencya, na niczem nieoparta, bezmyślna, rujnująca współzawodników; zobowiązania, do których dopisywano procenty, rosły, straty w handlu pokrywano w części nielitościwą eksploatacyą, a łatwo nabyte pieniądze trwoniono na pijatyki i hulanki. Bank stawał się zbiornikiem wszelkich podłości, siejącym na okół zgniliznę i rozpustę, a dla zapewnienia sobie bezkarności stwarzał odpowiednie otoczenie, demoralizował ludność i władzę. Uczciwy człowiek był solą w oku, trzeba więc było pozbyć się go za jakąkolwiek cenę; sądy, policya odpowiednio oczyszczone, stały się narzędziami bankowej kliki. To samo powtórzyło się słowo w słowo w Skopinie. Dyrektor Rykow despotycznie rządził miastem, zmieniał administratorów i sędziów. Dosyć przejrzeć listę dłużników banku, żeby przekonać się, jakimi środkami podtrzymywał swój wpływ: na liście tej znajduje się jeden generał-adjutant z Petersburga, dwóch gubernatorów, prokurator, dwóch członków sądu, dowódca dywizyi itd. Panowie ci brali, jak to mówią, na wieczne nieoddanie grube sumy—30, 50 a nawet 250.000 rs. Naczelnik kancelaryi gubernatora żądanie zwrotu pożyczki nazwał „zuchwalstwem.“—Na opornych były inne środki. Kiedy pewnego razu isprawnik (naczelnik powiatu) nie wykonał jakiegoś zlecenia banku, Rykow zwymyślał go publicznie, dodając „jak tylko gwizdnę, to mi cały wagon isprawników przyślą.“ Doktór Bitny-Szlachto wysłany został administracyjnie, korespondentów poprostu wyrzucano z miasta*). Zresztą ci ostatni niewiele mogli zrobić, bo bank posiadał płatnych służalców i w prasie; redaktor *Sowremiennych Izwiestij* p. Gilarow—Płatonow „pożyczył“ 9,000 rs., redaktor *Moskiewskiego listka* 700—o innych akty sądowe milczą; wiadomo tylko, że redaktor *Ruskiego Kuriera* odrzucił wszelkie propozycye.

Wszystkiemi sprawami banku zawiadywał Rykow, członkowie zarządu podpisywali wszystko, co im kazano. Jeden z nich, dobroduszny człeczyna, który przez cały ciąg sprawowania swych obowiązków był wiecznie pijany i wytrzeźwiał dopiero w kozie, naiwnie przyznał się, iż powszechnie sądzono, że członkowie są na to tylko, żeby brać pensyę i że dyrektor może czerpać z banku, ile zechce, i robić, co zechce. Wreszcie wybory do zarządu miejskiego istniały tylko z imienia; właściwie bowiem Rykow mianował swoich popleczników. Wpływ jego i znaczenie były tak wielkie, że nawet dorożkarze po 10 wieczorem nie chcieli jechać koło jego domu, tłomacząc się, że „Iwan Hawryłowicz tego nie lubi.“ Niejaki Sokołow za to, że świstał w ogrodzie publicznym, a kolega jego, za to, że grał w teatrze amatorskim — stracili posady. Kupiec Diakonow, nieprzyjaciel Rykowa, dostał się do więzienia i przesiedział dwa lata. Faktów takich naliczono dziesiątki.

Rykow przedstawia ciekawy okaz, wspaniały wykwit typu znanego w życiu i literaturze rosyjskiej, typu fantastyka-despoty, dla określenia którego język rosyjski posiada własny, niepodobny do przetłomaczenia wyraz — „samodur.“ Typ ten przy sprzyjających warunkach, w atmosferze zgnilizny, bezprawia i chciwości rozwinął się w całej pełni.

Podziwiać należy doprawdy tę naiwność publiczności, która niosła miliony do banku w małem miasteczku, brała łapczywie wysokie odsetki, nie zastanawiając się, nie pytając, czy bank ten może mieć tak wielkie obroty i zyski, żeby płacić niesłychane procenty. Deficyt, jak się okazało, istniał już w 1869 r.; odtąd część wkładów szła na pokrycie procentów i trwało to znowu dopóty, dopóki łatwowiernych klientów nie zabrakło.

Rykow na sądzie nie stracił właściwego mu zuchwalstwa, kłócił się z prezesem, wymyślał świadkom i wreszcie z cynizmem powtarzał: „Mówię prawdę z obowiązku obywatela rosyjskiego. Całe życie poświęciłem dla dobra ogółu i pragnę czynić to samo do końca.“ Przyczyną krachu, według tego dobroczyńcy ludzkości, był słaby nadzór ze strony państwa. „Żeby nas lepiej pilnowali — tobyśmy nie kradli“ — oto myśl przewodnia jego tyrad, w których powołuje się na zdanie „znakomitego publicysty moskiewskiego.“

Jakoż to odwołanie się nie przebrzmiało bez odgłosu. *Mosk. Wiedomosti* wystąpiły z artykułem o wzmocnieniu władzy, w którym pomiędzy zdaniami filozofów i mężów stanu znajdują się — aforyzmy p. Rykowa.

Inaczej radził bohater Uspienskiego — Tarakanow.

Obywatelowi temu również ukazują się w oddali mury więzienia. „Wtedy rezultat będzie, gdy wszystkich nas, podleców, na sznureczku na Sybir poprawadzą“—powiada on; obudzone wszakże raz sumienie dopowiada mu jeszcze: ale za co giną ci ludzie, którzy w swoim czasie mówili nam prawdę, za co marnują się oni?

X.

*) Kiedy na posiedzeniu sądowem p. Bitny-Szlachto złożył zeznanie, Rykow wstał i zapytał świadka:—Pan jesteś polakiem?—Tak, lecz, do czego to potrzebne?—Dosyć—odparł Rykow—więcej wiedzieć nie chcę. Ale prokurator dostrzegłszy, że ta insynuacya podzlałać może na przysięgłych, zapytał: — Ale kończyłeś pan uniwersytet w Moskwie i jesteś obywatelem rosyjskim? Tak—rzekł doktór.—To i dla mnie dosyć—zauważył p. Murawiew.

CZY FRENOLOGIA JEST NAUKĄ?

Nie wiem, czy wielu polskich czytelników wie o tem, że w New-Yorku wychodzi miesięcznik frenologiczny: *The Phrenological Journal*, poświęcony etnologii, fizyologii, frenologii, fizyognomice itp. — od 14 lat. Treściwość i objętość pozwala go zaliczyć do wydawnictw większego zakroju—jak np. *Ateneum.* W piśmie tem za grudzień r. b. umieszczone są studya frenologiczne nad głową Moltkego, d-ra J. Hollanda i Rubensa, a na czele studyum biograficzne T. T. Jeża, skreślone przez Teodora Stantona, poprzedzone uwagami i wnioskami frenologicznymi przez nieznanego autora. Co do biografii, nie będziemy się nad nią zastanawiali, przypuszczając, że jest ona znaną większości polskich czytelników; zmuszeni jednakże jesteśmy zanotować, że napisana jest z wielką znajomością stosunków polskich i bez błędów, jakich się trudno ustrzedz autorom obcym mówiącym o Polsce.

Artykuł ów (z dość dokładnym drzeworytem) nosi tytuł: *Zygmunt Fortunat Milkowski, the polisch patriot and author.* Pocieszający to zapewne objaw, że i za Atlantykiem nawet umieją ocenić jednego z najśmielszych i najlepszych naszych powieściopisarzy i ludzi, umieją bezinteresownie mierzyć jego zasługi dla naszej społeczności; lecz nie o owym szkicu biograficznym chcemy mówić, ale o uwagach frenologicznych, które, trzeba przyznać, po największej części są z wielką trafnością poczynione, jak to czytelnik z łatwością spostrzeże. Bądź co bądź, ciekawa to rzecz, że głowa jednego polaka, postawiona na czele bardzo doborowego towarzystwa „frenologiczną podpiera naukę“—jak mówi Słowacki.

Pierwszą część tego ze wszechmiar ciekawego studyum poświęcił autor skreśleniu charakterystyki fizycznego ustroju, o ile ten, według frenologii, jest w związku z budową czaszki. Część tę, jako mniej ciekawą dla czytelnika, pomijamy, a przechodzimy wprost do charakterystyki psychologicznej.

„Wogóle—mówi *The Phrenological Journal*—ogólny ustrój czaszki tego człowieka znamionuje spracowanie nad siły prawie, lecz razem energię woli tak potężną, że może podołać temu, co innych w stanie byłoby złamać.

Czaszka T. T. Jeża posiada cztery lub pięć wybitnych znamion, mówiących o jego niepospolitym umysłowym rozwoju. Proszę zauważyć występującą brew, obszerność i pełność całej tej okolicy; proszę zauważyć również wielką linię długości od otworu ucha do czoła po nad osadą nosa — znaki te wskazują wielką umysłową przenikliwość i siłę. Mało jest ludzi, u których by zdolność dostrzegania (perceptif) była tak rozciągłą, silną i wyrazistą, jak u niego. Stąd też umysł jego jest bogaty w pamięć faktów i wypadków, a doświadczenie przynosi mu wielką ilość świadomości. Jeżeli zwrócimy uwagę na środkową część czoła, gdzie się znajdują organa, mające do czynienia z historyą, geografią, językoznawstwem *), znajdujemy wielkie podobieństwo czaszki jego do czaszki sławnego uczonego kowala E. Burrita, zmarłego niedawno, który mógł czytać w 52 językach.“

Uwaga ta jest bardzo słuszną, bo T. T. Jeż, pomimo, że częściej miał do czynienia z wojną, niż z gramatyką, zna bardzo dobrze 12 języków obcych.

„Górna część czoła posiada pewną wydatność pośrodku, przy znacznej wysoko-

*) Byt tych „organów“ u człowieka i ich rozmieszczenie—bardzo wątpliwe. (*Red.*)

ści; cechy powyższe znamionują zdolność porównywania, zwłaszcza odnośnie do natury ludzkiej, jak również zdolność oceniania i opisywania charakterów, odgadywania ich z pierwszego rzutu oka. Wielka wydatność okolicy skroni wykazuje w nim dar twórczy, zdolność do kombinowania i organizowania łatwego, wogóle zdolność budowniczą. Zdolności te są zarówno niezbędne architektom, mechanikom, budującym skombinowane maszyny, jak również poetom i powieściopisarzom. Szerokość czaszki na linii uszu objawia siłę indywidualną, zdolności polityczne, żądzę posiadania czegoś na własność i umiejętność pokazywania tych rysów w swoim własnym charakterze lub w charakterach, które kreśli. Taki pisarz może tworzyć tylko charaktery samodzielne,—albo rozumne, umysłowo rozwinięte, ostro zarysowane albo też pełne siły, politycznego taktu, giętkie, wpływowe i przedstawi je z żywością uderzająco realną.

Taka głowa, jaką posiada T. T. Jeż, nie pomyśli charakteru bezbarwnego w opowiadaniu lub dramacie. Gdyby mu wypadło opisać chłopca, trzymającego konia dla bohatera, nada on temu chłopakowi pewne wybitne, po malarsku oddane rysy, którymi się on wyryje w pamięci czytelnika. Gdyby pisał dla sceny, każdemu charakterowi umiałby nadać cechy odrębne i wyraziste. Wadą jego w powieści lub dramacie byłoby tworzenie charakterów nadto silnych, wpływowych, nie codziennych, w rysunku za wiele światła jak w krajobrazie, kiedy jest wiele wzniesień i gór a brakuje płaszczyzn, dolin i łąk.

Głowa jego jest rozwinięta w okolicy dobroci. Odległości z pod występu włosów na czole do oka, a od ucha do tegoż punktu są wielkie; toby dowodziło, że ma on wiele dobroci, lecz przy wybitnej indywidualności i sile, sympatya ta jest jakby potrzebną ilością cukru w mocnej limonadzie. Innemi słowy, jego łagodność i dobroć potrzebne dla wygładzenia i zatarcia nieco ostrych cech organizmu.

Godność osobista i stałość muszą być w nim wielkie; jest on pozytywny prawie do ostateczności, w uczuciach swoich stały i umiejący ich bronić z pewną dumą, gdy są podrażnione odpowiednią opozycyą. Potęga jego w unicestwieniu oponujących lub w smaganiu nieprzyjaciół językiem silnym, obrazowym i dumy pełnym, nie często znalazłaby równą sobie.

Ma on silną miłość towarzyską; przyjaciele ufają mu, a nieprzyjaciele boją się lub nienawidzą. W każdem kole odznacza się, jako siła umysłowa. Jako poeta i powieściopisarz zdolnym jest do zrobienia najlepszego użytku z tych wybitnych zalet charakteru i dominuje w krajobrazie literackim, jak Mont-blanc lub Matterhorn, które nadto są wielkie, aby się obawiały zacienienia."

Jeżeli zwrócimy uwagę, że powyższe wnioski wyciągnięte są tylko z fotografii, a piszący to nie znał i nie widział nawet nigdy T. T. Jeża, mimowoli przyznać potrzeba, że frenologia musi być chyba nauką o trwałych podstawach, kiedy może wydawać sądy pełne prawdy, aż do zadziwiających nieraz szczegółów, o ludziach żyjących lub też wnioskami swymi wspierać biografie takich mężów jak Moltke, Rubens i inni*).

Fr. R.

---

*) Naszem zdaniem wywód miesięcznika amerykańskiego kwestyi tej nie rozstrzyga, gdyż: 1) powierzchownym tylko być może sąd frenologa, oparty jedynie na fotografii: 2) sąd ten jest w kilku punktach co do Jeża bardzo fałszywym; 3) frenologiczne mapy czaszek nie mają często żadnej fizyologicznej podstawy, lecz są po prostu fantazyami. (*Red.*).

BADANIA DZIEJOWE.

Dr. Antoni J. **Opowiadania**. Serya czwarta. Warszawa, 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, 8-a, t. I. str. 415, t. II. str. 458.

Nowa serya opowiadań dra Antoniego J. obejmuje zbiór artykułów, drukowanych w czasopismach w przeciągu trzech lat ostatnich. Zaprezentowane są w niej najliczniej szkice biograficzne: 1) kasztelana bracławskiego z XVI wieku, Wasila Zahorowskiego (*Senatorska dola*), 2) pieniacza kresowego, Stefana Didkowskiego (*Palestrant z XVII wieku*), 3) bohatera ukraińskiego z czasów Sobieskiego, Balcera z Godzimierza Wilgi, 4) skarbnika czerwonogrodzkiego z XVIII w., Stefana Makowieckiego (*Gospodarstwo pana skarbnika czerwonogrodzkiego w kamienieckiej warowni*), 5) emira Rzewuskiego, 6) wojewody nowogrodzkiego, Jabłonowskiego (*Jeden ze szczepów zasłużonego rodu*), 7) zmarłego w r. 1827 ekscentryka podolskiego, Ignacego Scibora Marchockiego (*Hrabia Redux*), 8) podczaszego wiłkomirskiego, a następnie episkopa łuckiego z doby saskiej, Zabokrzyckiego (*Nieszczęśliwy władyka*), 9) Aleksandra Weryby Darowskiego; 10) Maurycego Gosławskiego. Dwa artykuły dotyczą kresowych (*Na szpakowym szlaku*) i niekresowych w rzeczypospolitej tumultów (*Sprawa tarnowska*), z reszty — jeden potrąca o żeglugę polską na Euxinie i Tyrasie (*Początek handlu polskiego na morzu Czarnem i żegluga na Dniestrze*), inny o sprawę chłopską w XVIII wieku (*Chamska dola*), — znalazła też miejsce w tej seryi i obszerniejsza, znana w oddzielnem wydaniu rozprawka p. t. *Z przeszłości Polesia kijowskiego.*

Przez porównanie artykułów tej seryi z pracami dawniejszemi dochodzi się do przeświadczenia, że talent autora skrystalizował się oddawna, doszedł swojego kresu i nie nowego pod względem artystycznym stworzyć nie zdoła. Przesunęły się pod piórem dra Antoniego J. różne tematy, lecz sposób traktowania ich zmianie nie uległ żadnej. Moglibyśmy z tego powodu powtórzyć charakterystykę opowiadań, podaną przed dwoma laty z okazyi seryi trzeciej (*Prawda* z r. 1882, nr. 49).

Nie szkodzi artyzm nauce, a nauka artyzmowi — dał tego dowód Macaulay, Thierry, Szajnocha; tymczasem w pracach dra Antoniego J. dwa te pierwiastki okazują się słabo i w ciągłej z sobą są kłótni. Ile razy autor, nie krępując się materyałem historycznym, snuje na temat drobnego jakiego zdarzenia fantazyę — wymagania artystyczne zadawalnia i z upodobaniem czyta się znacznem. Do takich utworów należy *Senatorska dola* — opowieść o pobycie szlachcica w niewoli tatarskiej i *Chamska dola* — fantazya na temat egzekucyi chłopa-włóczęgi, podejrzanego o zamordowanie swej żony. Ile razy znowu rozporządza rozleglejszym materyałem historycznym, szwankuje zarówno pod względem artystycznym, jak i naukowego rzeczy wykładu. W obfitości materyału gubi artyzm zupełnie: przez nieumiejętność grupowania faktów, akcentowania zdarzeń ważniejszych, a usuwania na plan dalszy podrzędnych, nudną (*Pan Balcer z Godzimierza Wilga. Nieszczęśliwy władyka*) lub ciekawą, lecz zawsze nieforemną stwarza gawędę. Owa zresztą materyału obfitość jest raczej ilościowa, niż gatunkowa. Drobiazgami rozporządza autor obficie, faktów zasadniczych często mu brak. Potrafi np. przedstawić subtelności swarów małżeńskich, a nie okaże głównych w życiu bohatera przełomów. Stąd dla przerw i braku spójni pomiędzy faktami opowiadania dra Antoniego J. zamiast wizerunków ludzi podają tylko niektóre rysy; zamiast całokształtu stosunków — mniej lub więcej obfity zbiór wiadomości do odnośnego przedmiotu. Rażący jest przytem nieporządek w wykładzie: w życiorysie np. wojewody Jabłonowskiego brak składu i ładu. Przez właściwą autorowi gorączkowość w robocie, przez nieodłączny od obfitości produkcyi, pośpiech — oprócz uchybień w konstrukcyi zdarzają się i błędy faktyczne. Nie prymas *Czartoryski* asystował Leszczyńskiemu w Gdańsku podczas bezkrólewia po Auguście II (I, 328), lecz Teodor Potocki. Czy istotnie w otoczeniu Leszczyńskiego podczas oblężenia Gdańska znajdował się hrabia Plelo (nie *Pleto*) i de la Motte Perouse (I, 329)? Wiemy z historyi, że kapitan de la Motte przybył z odsieczą na czele kilkostatkowej eskadry, lecz dla przeważnych sił rosyjskich, które zajęły port gdański, nie wylądował nawet i do Kopenhagi powrócił; objął po nim komendę hrabia Plelo, lecz zginął od kuli i z Leszczyńskim widzieć się nie mógł. Żona hetmana Jabłonowskiego, Joanna de Bethune, nie była „rodzoną siostrą Maryi Kaźmiry" (I, 316), lecz siostrzenicą, córką Ludwiki Maryi d' Arquien. Według dra Antoniego J. Gosławski poróżnił się z generałem Krasińskim i zamiast trzech tomików poezyi wydał jeden (II, 432); trudno zrozumieć, dlaczego by poróżnienie się to wpłynąć miało na redukcyę liczby tomików—zrozumieć tem bardziej, że ów właśnie wydany tomik dedykowany został Krasińskiemu. Znać nie dość pilnie się autor przyglądał atlasowi Rizzi Zanoniego, skoro uwielbia w nim „korektę bardzo ścisłą i sumienną" (II, 364); nie ważył słów, skoro zapomnia, że „*wszystko*, co zdolne było broń nosić, podążyło z Sobieskim pod Wiedeń" (II, 171). Do życiorysu Józefa Aleksandra Jabłonowskiego przyda się nieznany autorowi szczegół, że wojewoda w bezkrólewiu po Auguście III przeciwko Czartoryskim występował czynnie, był bowiem marszałkiem sejmiku antikonwokacyjnego województwa nowogrodzkiego i w materyi publicznej pod datą 8 lutego 1764 r. z Nowogródka do marszałka nadwornego litewskiego Sanguszki znany nam z rękopisu list pisał.

Pomimo ulomności opowiadaniom dra Antoniego J. przyznać należy wartość niemałą. Przyszły biograf emira Rzewuskiego, Jabłonowskich, Darowskiego, czy Gosławskiego znajdzie w nich nowy i ważny często materyał; badacz dziejów prowincyj kresowych spotka się z charakterystycznemi postaciami, których wskrzeszenie niezaprzeczoną stanowi zasługę. O wziętości opowiadań dra Antoniego J., jako lektury poważnej a przyjemnej, wątpić nie można.

Sm.

BIBLIOTEKA MATEMATYCZNA.

W dalszym ciągu „Biblioteki matematycznej" wydawanej przez p. M. Baranieckiego z zapomogi Kasy Mianowskiego wyszły *Wiadomości początkowe z geografii i meteorologii* Augusta Witkowskiego.

Książeczka ta, stanowiąca tom IV seryi I, obejmuje: wiadomości o postaci i ruchu ziemi, o przyczynach dnia, nocy i czterech pór roku, o budowie ziemi ze względu na lądy, morza i atmosferę, o cieple, jego źródłach i wpływie na klimat, o zmianach ciśnienia atmosferycznego i wiatrach, o wodzie i jej postaciach, o pogodzie i klimacie, nareszcie o przyrządach meteorologicznych; napisana jest treściwie i przystępnie.

Tom II, seryi IV, stanowiący część pierwszą algebry wyższej, zawiera *Rozwiązywanie równań liczebnych* Juliana So-

chockiego. Autor przedewszystkiem, i bardzo słusznie, zwrócił szczególną uwagę na oddzielanie pierwiastków, która to czynność, przy rozwiązywaniu równań, największe przedstawia trudności. Cały wykład prowadzony jest w tonie nadzwyczaj ścisłym; porządek i sposób przedstawienia rzeczy pomyślany oryginalnie i wykonany konsekwentnie.

W zakresie sprawozdania niniejszego, nie możemy nawet przedstawić choćby tylko ogólnego obrazu dzieła prof. Sochockiego. Poprzestajemy zatem na zaznaczeniu przynajmniej miejsc ważniejszych. Do tych, między innemi, należą: oryginalny dowód twierdzenia Cauchy'ego o istnieniu pierwiastku; rozkład funkcyi ułamkowej na ułamki najprostsze; twierdzenia: Laguerre'a, Sylvester'a i Hermite'a. Być nawet może, że to dopiero pierwszy podręcznik, w którym twierdzenia ostatnich trzech geometrów uwzględniono, bo przynajmniej w znanych nam dotąd nie spotykaliśmy się z niemi.

Dowód twierdzeń Laguerre'a dał autor oryginalny. Laguerre bowiem opiera się na twierdzeniu Descartes'a, które rozciągnął do pewnego rodzaju równań przestępnych; podczas gdy autor trzyma się ściśle granic równań algebraicznych. W skutek tego, sformułowanie twierdzeń Laguerre'a przez prof. Sochockiego jest tak różne od wysłowienia ich twórcy, że zdaje się na pozór jakobyśmy mieli do czynienia z całkiem różnemi twierdzeniami, choć w gruncie rzeczy są te same. Na tej odmianie zyskujemy także większą łatwość w stosowaniu reguł Laguerre'a do przykładów.

Również dowód twierdzenia Hermite'a i wniosków stąd wypływających są własnością prof. Sochockigo; gdyż Hermite, w rozprawie, z której autor czerpał, dał tylko same wyniki bez dowodu.

Wprowadzenie zresztą do wykładu twierdzenia Sylvester'a, i wynikającego stąd jako wniosek twierdzenia Newtona, ułatwi, pragnącym śledzić za rozwojem tej części algebry, zrozumienie prac spółczesnych, pojawiających się dość często w dziennikach matematycznych.

W dowodzeniach trzyma się autor najczęściej metody, którąby można nazwać: „przez sprawdzanie.“ Jakkolwiek niektóre przynajmniej z tych dowodów zeskałyby może na prostocie i jasności przy stosowaniu innych sposobów, z uwagi jednak, że metoda przez sprawdzanie jest jedną z najwięcej używanych przez samodzielnych badaczy, posługiwanie się nią często w podręczniku zaprawia zawczasu studyujących do tego niezwykłego sposobu myślenia, który im wyjść z czasem może na wielki pożytek.

Ponieważ książka przeznaczona jest dla rozpoczynających studya uniwersyteckie, przeto z korzyścią czytaną być może tylko przez tego, kto gruntownie przeszedł kurs matematyki gimnazyalny (serya III), a nawet już wystudyował wstęp do analizy.

Co do nomenklatury, za którą zasługa przypada w udziale redakcyi, zaznaczyć winniśmy dwa nowo wprowadzone terminy, a mianowicie: *krańce* dla pierwiastków, zamiast dawniejszych *granic i odchylenie* zamiast używanego dotąd *argumentu* lub *amplitudy*. Pierwsza innowacya pożyteczna jest głównie ze względu, że w terminologii już zaznacza się różnicę pomiędzy granicą dla pierwiastków i granicą w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, czego dotąd nie było. Przez wprowadzenie zaś nazwy *odchylenie*, unika się również dwuznaczności, z uwagi, że argument znaczyć może moduł lub odchylenie; amplituda znowu używa się często w znaczeniu specyalnem w astronomii i mechanice.

Wł. G.

POUCZAJĄCE WSPOMNIENIA.

Pan Sozański*), erudyta i biblioman, z głową nadzianą różnego rodzaju wiadomościami bez planu, krytyki i metody naukowej, położył niemałe zasługi na polu oświaty, zwłaszcza jako autor *Machiawella* i dzieła p. t. *Oltramare, błędy i nadużycia rzymskiego kościoła*. I książka niniejsza, jakkolwiek chaotyczna, złożona z kartek i karteczek, wypisanych na wiarę z różnych pism i w różnych miejscach, a potem układanych bez ładu i wyboru, odsłania niejeden prawdziwie ciekawy szczegół, zakrywany starannie przez stany i koterye. Z bogatéj skarbnicy znaczących faktów, nagromadzonych przez p. Sozańskiego, obok błahych i nieznaczących, wyjmuję kilka znamiennych szczegółów ze smutnej pamięci dziejów naszej ciemnoty.

Na pogrzebie Józefa Potockiego, hetmana W. kor. i kasztelana krak., zmarłego 1751 r., było: 10 biskupów i sufraganów, 60 kanoników, 1275 księży łacińskich, 430 greckich... Kanonikom przez 4 dni dawano po 5 dukatów, innym po 3 dukaty; klasztory miały osobne donatywy, a księża oprócz opłaty pobierali: leguminy, miód, piwo, wódkę, korzenie i inne potrzeby. Na jeden obiad wychodziło: 20 beczek wina węgierskiego, 11 burgundzkiego, szampańskiego i reńskiego, co trwało 5 dni. Ze 120 armat spiżowych dziedzicznych dawano przez 6 dni ognia, na co wypotrzebowano 4,700 kamieni prochu... Potocki był jednym z pierwszych urzędników państwa, ale nawet na prywatne pogrzeby zjeżdżała się chmara księży. Matuszewicz, znany pamiętnikarz, sprowadził na pogrzeb swego ojca w 1755 r., 324 łacińskich a 150 ruskich księży, fetował ich i płacił po 2 do 5 tynfów. Gdy mu pieniędzy nie stało, musiał pożyczyć 80 dukatów. „Z tego widzimy— dodaje Sozański—że dla księży były dukaciki, a na powiększenie wojska nie było pieniędzy. Oj polacy, polacy! jaka wasza polityka?“..

Pod tytułem *Żarłocy znakomici w Polsce* czytamy: U ks. Świdrygiełły trwał obiad sześć godzin i najmniej sto trzydzieści potraw zawierał... Gamrat biskup krakowski, później arcybiskup gnieźnieński, zjadał na jeden raz 12 kapłonów... Niejaki Bohdan, rządca dóbr czudnowskich, zjadał na śniadanie skopową pieczeń, gęś, dwa koguty, pieczeń wołową, ser i trzy chleby, przytem wypijał dwie miary miodu; obiad zaś jego składał się z dziesięciu porcyj wołowiny i kilku porcyj cielęciny i baraniny; po nich spożywał kapłona, gęś, prosię, pieczeń wołową, skopową i wieprzową... Powien szlachcic z województwa malborskiego, wstawszy od obiadu, zjadał kopę jaj *twardych* albo pięć kuropatw...

Poeci i literaci umierali z głodu, literalnie z głodu. Michał Gliszczyński, znany krytyk i tłómacz Heidensteina zmarł tak w Kielcach 1874, kiedy *Gazeta kielecka*, jedyne źródło jego dochodu, przestała wychodzić. Grzymała, redaktor *Astrei* warszawskiej, umarł w Paryżu z głodu w sędziwym wieku. Tak zginął marnie Komar, i wielu, wielu innych.

Ciekawe są nadużycia intryg i fałszerstwa w *Volumina legum*, w tym klejnocie szlachectwa polskiego. Konstytucya sejmowa z 1658 była dwa razy fałszowana i wyszła dopiero za trzecim razem dokładnie z prasy. Jestto bardzo ważna wiadomość, bo właśnie uchwałą tego sejmu wypędzono Aryanów, czem się sejm nie mało splamił. Charakterystyczną jest poprawka konstytucyi litewskiej z 1699: „Ponieważ przez omyłkę — brzmi poprawka — weszło w konstytucyę z 1690 r. pod tytułem: „Podymne,“ słowo, ujmujące równości, mieniąc *mniejszą szlachtę*, przeto za zgodą wszech stanów *słowo to na zawsze znosimy* (!) przyznając, że *w równości mniejszego, ani większego niemasz* (!)...

Najbogatsze wiadomości, skrzętnie z dzieł obcych pozbierane przez Sozańskiego, dotyczą bibliografii. Niektóre rzucają jaskrawe światło na umysłowość i literaturę. Ze wszystkich dzieł na kuli ziemskiej jest najwięcej czytana i wydawana Biblia. Książe Würtembergski miał w swej bibliotece w Sztutgarcio przeszło 9000 różnych jej wydań, a brakowało mu jeszcze około 4000!—W tym zbiorze znajdowało się edycyj: 647 łacińskich, 663 protestanckich, 240 francuskich, 225 holenderskich, 226 hebrajskich, 150 angielskich, 150 wierszowanych, 115 z rycinami itd. Pewien amerykanin liczył przez 3 lata nieustannie wiersze słowa i litery w Biblii, i znalazł, że Pismo św. (starego i nowego zakonu) zawiera 73 ksiąg, 1334 rozdziałów, 31,175 wierszy, 773,692 słów, 3,566,480 liter. Ale nie na tem koniec tego genialnego obliczenia. Spojnik *i* znajduje się tam 45,227 razy!... Baron Kaustein wytłoczył w swej drukarni *ad hoc* założonej (od r. 1710 do 1810) około dwóch milionów egzemplarzy całej Biblii, a przeszło milion Nowego Testamentu. Angielskie towarzystwo biblijne, założone 1804 r., wydaje rocznie 5 milionów franków na tłómaczenia i przedruki Biblii. Biblię z XIII wieku w 12 tomach zabraną z rozkazu Napoleona w Lizbonie oszacowano na 144,000 franków!

Po Biblii rozchodzą się najwięcej dzieła Shakespeare'a. Nieprzejrzaną ilość wydań, tłómaczeń, przeróbek, komentarzy itp. pism podają niemieckie roczniki Towarzystwa Szekspirowskiego p. t. *Shakespeares Jahrbücher*. Don Kiszota było (od 1605 do 1857) 400 wydań tylko w języku hiszpańskim, a tłómaczeń mamy: na język angielski 200, na francuski 168, na włoski 96, na portugalski 80, na niemiecki 70, na polski 8. Montesquiego *Duch praw* miał 12 wydań w pierwszych siedmiu miesiącach (pierwsza edycyą z 1749); Dickensa powieści *Oliwer Twist* odchodziło dziennie 15,000 egzemplarzy. Büchnera *Kraft und Stoff* wyszło, w latach 1852—1872, 12 wydań i było tłómaczone na ośm języków. Przepraszam za suche i martwe wyliczenia, ale te cyfry mówią o usposobieniu i umysłowych potrzebach narodu. Tomasza a Kempis dzieło *O naśladowaniu Chrystusa* miało około 800 wydań, *Jerozolima wyzwolona* Tassa 277, Dantego *Komedya Boska* 295, rymy Petrarki 302, Ariosta *Orland szalony* 426 wydań. Takiemi dziełami karmiła się ludzkość; dzisiaj się czasy zmieniły...

Z niedyskretnych szczegółów wymienię tylko parę. George Sand była w tym stopniu niemoralną osobą, że z domu, gdzie mieszkała, wyprowadzili się wszyscy niemal lokatorowie, a właściciel kamienicy wytoczył jej z powodu tego skandaliczny proces... Na chorobę pęcherza cierpieli: Bacon, Bossuet, Buffon, Michał Anioł, Kalwin, Franklin, Leibnitz, Montaigne, Napoleon I, Newton, Rousseau, Voltaire i wiele innych znakomitości. W bibliotece narodowej w Paryżu jest ciemna sala, zwana piekłem, w której znajdują się pod kluczem najobrzydliwsze bezeceństwa, jakiemi się w ciągu 400 lat hańbiła prasa drukarska. Dział ten obejmuje 740 tomów...

Zajmujący jest spis honoraryów autorskich w różnych czasach i miejscach. Walter Scott otrzymał tylko za 4 romanse do 600,000 franków, za wszystkie dzieła przeszło 2 miliony! Thiers za *Historyę rewolucyi francuskiej* miał otrzymać *różnymi czasy* dwa miliony franków. George Sand pobierała 1875 r. za arkusz druku powieści, wychodzącej w *Revue de deux Mondes* 1,000 franków. Delille, nudny Delille dostał za „tłómaczenie“ *Straconego raju* 30,000 franków. Następujący francuscy pisarzy doro-

*) *Ciekawe szczegóły z literatury i bibliografii, tudzież innych umiejętności.* Kraków 1855 str. 342, w 8-ce wielkiej.

bili się dziełami swemi znacznego majątku: George Sand 1.200.000 franków. Emil de Girardin — 8,600.000 fr., Wiktor Sardou— pół miliona. Gautier — milion itd. Kiedy beletryści francuscy zostawiają milionowe fortuny, umiera znakomity filozof Feuerbach w okropnej nędzy; przed śmiercią robiono składki publiczne. Co za kontrast, jaka różnica czytającej publiczności! Pierwsze wydanie *Raju* Miltona nie miało pokupu, ale już spadkobiercy księgarza Thompsona zarobili na nim 100,000 talarów. Sterne nie mógł za życia sprzedać dwóch ksiąg swego znakomitego dzieła *Tristram Shandy*; po jego śmierci ogłosił powieść anglik, że zapłaci gwineę za każdy wiersz jego rękopisu. Autografu Robinsona nie chciał kupić od Foego żaden księgarz...

U nas podobno Zawadzki był pierwszym nakładcą, który płacił honorarya autorom. Pan J. B. W. otrzymał za przekład jednego tomu romansu Dumasa *La comtesse de Salisbury*, składającego się z 450 str., ośm rubli. W. Pol, nakładając sam *Mohorta*, zyskał przeszło 40,000 złp. Kraszewski otrzymywał w 1860 r. za czterotomową powieść do 10,000 złp. W r. 1847 dostał tłómacz od administracyi teatru krakowskiego za 8 komedyi i dramatów przełożonych z włoskiego i francuskiego... bilet parterowy do teatru na cały rok. Niemcewicz miał 29,000 złp. dochodu z rozprzedanych *w roku 1817 Śpiewów historycznych*, i ofiarował tę kwotę Towarzystwu przyj. nauk.

Z.

„ŚWIATEŁKO."

Niepodobna odmówić ani szczęśliwego pomysłu nakładcom, ani dobrych chęci autorom. Trzydziestu literatów, przeważnie znanych lub nawet głośnych, złożyło się na ofiarę ze swych talentów dla młodziutkich czytelników. Czyn piękny, a ze względu na potrzebę — doniosły. Cokolwiek wart ten zbiorek, jest on upominkiem niezmiernie sympatycznym, bo stanowi jak gdyby podarek umysłowy ojców dla dzieci. Grono ludzi, którzy nigdy temu wiekowi sił swych nie poświęcali, nagiąwszy swe pióra, uplotło wianek pouczających i zajmujących opowiadań. Ile ta drobna książeczka kosztowała pracy, mozołów, wreszcie badań, czy jakieś pojęcie jest stosownem, czy obraz dość barwnym! Niektórzy autorowie, piszący bez trudu najpoważniejsze artykuły, musieli cofać lub kilkakrotnie przerabiać swoje roboty dla... dzieci, a redakcya ważyła je ze skrupulatnością pedantyczną. Może nie osiągnęła ona celu w zupełności, ale wydała książkę, która jest najlepszą i najbardziej pouczającą w literaturze dziecinnej swojskiej. Ale zapoznajmy się z jej treścią.

„Jak się dzieci w Bronowie z Rozalią bawiły" — opowiedziała z miłym wdziękiem Konopnicka. Wandzia Marrenowej przyjechała do Warszawy i spostrzegłszy nad Wisłą powodzian, kupiła dla nich żywności i odzieży za pieniądze, przeznaczone na zabawki; Jaś Orzeszkowej, zabłąkawszy się w mieście, zaszedł na noc do biednych i pracowitych garncarzy, gdzie spotkał „dziada," którym go straszono a który był poczciwym człowiekiem i gdzie poznał zacne życie biedaków; Karolek Meyeta, pragnący rzucać kulami ze śniegu za małoletnim przestępcą, opuścił mściwą rękę, gdy sobie przypomniał, że schował scyzoryk koledze i że takich winowajców nazywają złodziejami; chłopczyk Bełcikowskiego stratą pięknego pałasza okupił doświadczenie skutków kłamstwa; Edzio Kościałkowskiej, złapawszy druciarczyka, który zjadł krupnik, przygotowany dla psa, zrozumiał nędzę; Jaś Sulimierskiego sprawdził zawodność snów; Tadzio Chlebowskiego opłakał skutki pierwszego papierosa: Adaś Szczęsnej uczuł wdzięczność dla ludzi, wywożących na wieś dzieci ubogie, między któremi znajdował się jego ukochany towarzysz; Stasia Szeligi nauczyła się w życiu miłości bliźniego; Jurcio Lubowskiego spełnił ciężki obowiązek prawdomówczości itd. Dodać winniśmy, że nie są to sucho wypowiedziane morały, ów banalny groch na ścianę, ale żywe i zaciekawiające opowiadania, w których prawdę moralną rozpuszczono jak sól.

Drugą kategoryę stanowią wykłady: Kramsztyk tłomaczy: jak kalina wodę pije, o deszczu, mgle i rosie, wreszcie o książce (papierze i druku); Nusbaum zapoznaje dzieci z naturą „nad brzegiem stawu," Rozmysłowski mówi o jedwabniku, Rajchman o bańkach mydlanych, Smoleński opowiada o przyjaciołach dzieci (Baudouinie, Falkowskim i innych, Dickstein o Koperniku, Teresa Jadwiga o Grzegorzu z Sanoka, Glogier o okrężnem, a Chmielowski tłomaczy Jankowi, co to jest „poeta."

Dział poezyi wypełniają piękne bajki W. Wysockiego. Jeża, Grabowskiego, oraz obrazek K. Hofmana.

Na końcu mieszczą się przestrogi moralne (przysłowia) i łatwe zadania arytmetyczne.

Ten bardzo ogólnikowy spis treści wykazuje tylko *co*, ale nie *jak* zrobiono. Może nasz, zresztą tylko cząstkowy udział w opracowaniu tej książki przecenia nam jej wartość; ale sądzimy, że ona zasługuje na coś więcej, niż na te mizerne i głupowate wymysły, którymi ją obrzucono przed ukazaniem się. Jest to zbiorek, który na długo pozostanie ulubioną książką dzieci. Sprawi on przytem dużą niespodziankę tym, którzy w nim wietrzyli jakąś radykalną bombę, gdyż jest najzupełniej odsunięty od pola jakichkolwiek walk umysłowych, w których dzieci przyjmować udziału nie potrzebują. W młode główki nie należy wbijać żadnych gwoździ, czy to kutych w kuźni konserwatywnej, czy liberalnej. W główki te wpuszczać trzeba tylko promienie prawd niewątpliwych i uczuć szlachetnych. A *Światełko* takich promieni posiada wiele.

Dr. H. Hoyer.

(Wspomnienie jubileuszowe).

W kraju, nieposiadającym dziś ani mistrzów naukowych, którzyby z katedry uniwersyteckiej kształcili młodzież i bogacili ją zasobami swej wiedzy i geniuszu, ani nawet odpowiednich pracowni — każda sumienna działalność profesorska nabiera szczególnego znaczenia. Taką 25-letnią działalność dra Henryka Hoyera uczcili jego uczniowie i koledzy solennym obchodem i pamiątkowym darem. Jubilat gwiazdą pierwszej wielkości nie był, ale był pracownikiem niestrudzonym, uczonym poważnym, badaczem gruntownym, profesorem wysoce cenionym. Urodzony w Poznańskiem a wychowany przez niemców przybył w r. 1859 do warszawskiej Akademii medycznej, gdzie mu powierzono wykład fizyologii. Utrzymał się na katedrze w Szkole Głównej i w uniwersytecie warszawskim, gdzie uczył histologii, embryologii i anatomii porównawczej.

Jego prace naukowe składają się z szeregu rozpraw specyalnych, których tu nawet w streszczeniu przedstawiać nie możemy. Dotyczą one głównie: bezpośredniego połączenia tętnic i żył, zakończenia nerwów w rogówce, szpiku kostnego, błony śluzowej nosa itd. W r. 1862 wydał dzieło obszerniejsze: *Histologię ciała ludzkiego*. Jako długoletni prezes Towarzystwa lekarskiego i współpracownik wielu pism medycznych, objawiał działalność żywą, energiczną i przez wiek nieoziębioną.

Gazeta lekarska, składająca się przeważnie z jego uczniów, przygotowała mu pamiątkę istotnie okazałą. Jest to książka zbiorowa, zawierająca kilkadziesiąt prac, wydana na wytwornym papierze, ozdobiona winietami, rysunkami brzegowymi, inicyałami, które świetnie wykonał dr. Peszke, prawdziwy w tych rzeczach artysta. W typografii polskiej nie widzieliśmy tak zbytkownego wydania. Wydaną została tylko w 145 egzemplarzach, a nakład poniosła w całości *Gazeta lekarska*. W sercach uczniów muszą być żywe uczucia wdzięczności dla profesora, kiedy się tak objawiły w owym podarku i w dołączonym do książki życiorysie, gdzie p. Matlakowski gorącemi słowy opowiada zasługi swego profesora. Zasługi te wypłynęły głównie ze szczepienia krytycyzmu i ścisłości badania w młodzieży uniwersyteckiej, pod kierownictwem Hoyera odbywającej studya. Jego pracownia była dla wielu szkołą niezmiernie pożyteczną, która przyuczała do pracy sumiennej, gruntownej i uwzględniającej postępy wiedzy.

LIBERUM VETO.

Badania nad *Kuryerem*. — Wiązanka z jednego numeru. — Lista kradzieży. — Zobojętniona wrażliwość i potrzeba zaostrzenia jej. — Dokąd my idziemy? — P. Zimajer i Mierzwiński jako emisaryusze polskiej propagandy. Obawa buntu. — Jubileusz Hoyera. — Za silna dawka chwalby.

Ponieważ mniej odbywam w roku „wizyt," niż księżyc nowiów; na widowiska, dla oszczędzenia sobie tych boleści, które za nas wszystkich znosi p. W. Bogusławski, nie uczęszczam, a nawet jestem dość umiarkowanym konsumentem „świeżego powietrza" ulic Warszawy, więc pilniej studyować muszę *Kuryery*, niż ktokolwiek niż ci szczęśliwcy, którzy za dziesięć groszy dostają w cukierni: filiżankę kawy i wolno im jedno pismo czytać, kilka trzymać pod pachą i na kilku siedzieć. Jak zwykle tedy wczoraj, po skończonej pracy, chcąc „zbadać puls życia grodu syreniego" — wziąłem do ręki *Codzienny*, pismo, które po za swą szczególną słabością do *Bluszczu* i *Tygodnika powszechnego*, posiada dobre informacye. Czytam (nr. 354): „W tych dniach rabusie napadli na kilka osób powracających z cmentarza w Brudnie i tylko przeważającej sile napastowanych zawdzięczać trzeba, że się obeszło bez gorszych następstw."—Fe! rzucam wzrok na drugą stronicę. „Przytrzymano (w obławie na Szmulowiźnie i szosie radzymińskiej) ośmiu największych łotrów, przy których znaleziono itd." Fe!—wiadomość następna: „Zabójstwo. Dwóch niewiadomych zbrodniarzy w dniu wczorajszym dobrało się do młyna, położonego za wolskiemi rogatkami itd." Fe!—niżej: do mieszkania p. K. przy ulicy Noowolipki wszedł rano porządnie ubrany blondyn, który naprzód oddał służącej list, a potem zarzuciwszy jej na szyję pętlicę, zaczął ją dusić; dopiero itd. Kiedyż wybrnę z tego złodziejskiego lasu! Czytam z kolei: „Do niezwykłych czynów „naszych znanych" należy zaliczyć kradzież czterdziestu łączników żelaznych, odszrubowanych od wagonów itd." Następnie: „Onegdaj przed południem z mieszkania jednego z naszych współpracowników rzezimieszkowie zabrali całą garderobę i spory zapas bielizny." Kiedyż koniec? Jeszcze daleko! W tymże

numerze mieści się nadto opis zajścia o skradzioną portmonetkę i doniesienia o dziesięciu złodziejstwach *drobniejszych*, między któremi znajdują się kradzieże 200 rs. i 200 indyk, kur i kaczek (łapówek i oszustw nie liczono!)

Oto jest „puls życia syreniego grodu.“

Puls ten powinien przedewszystkiem ucieszyć sprawozdawcę naszego „widnokręgu;“ bo jeżeli sama Warszawa jednego dnia spełnia tyle przestępstw, to cóż dziwnego, że daleko obszerniejsza prowincya pozwoli sobie od czasu do czasu zrabować jakiś dwór lub plebanię, zamordować chłopa lub szlachcica. Pomimo tej wszakże pociechy, spytać trzeba: do czego my dojdziemy z tą moralnością? Przecież to już nie naród, służący innym za przykład cnoty, ale... Nie chcę kończyć; czem my staliśmy się, odpowiedźcie za mnie sami. To już nie stan społeczeństwa cywilizowanego, ale groźny stan jego ciężkiej choroby. Niedługo zasłyniemy w Europie jako społeczeństwo zgniłe, niedługo w jej hotelach żądać będą od nas kaucyi na pewność, że nie zabierzemy z sobą żadnego drobnego sprzętu w wynajmowanym pokoju.

Skoro inaczej być nie może, skoro nie w naszej mocy leży ukrócenie gospodarki złodziejów, nie znieczulajmy przynajmniej wrażliwości moralnej. Zbyt oswoiliśmy się z widokiem występku. Dzienniki ze spokojem wypisują litanię codziennych kradzieży i rozbojów, a my czytamy te doniesienia z zajęciem — jeśli są sztucznie udramatyzowane, a z ziewaniem — jeśli nie wykraczają ze zwykłego typu. Trzeba w opinii podniecać uczucie zgrozy, ażeby ona nie stępiała, gdyż młodszo pokolenia, wychowane pod wpływem upodlenia z jednej a obojętności na nie z drugiej strony, wyrosną skrofuliczne moralnie. Mniejsza o stracone pieniądze, futra, indyki i łączniki żelazne, ale jaka z wyziewów złodziejstwa tworzy się atmosfera, którą społeczeństwo oddycha? Jak działają na każdy mniej oświecony umysł te chłodno regestrowane i filozoficznie przyjmowane wypadki ciągłych rozbojów i grabieży? Umysł taki często rozumuje sobie: ponieważ się udaje, dla czegożby nie sprobować?

Gdyby ostatnie potwierdzenie pokoju nie nosiło świeżej daty i gdybyśmy w Warszawie mieli własne ministeryum spraw zagranicznych, obawiałbym się poważnie, czy ks. Bismark nie gotuje dla nas wojny a w każdym razie sądziłbym, że wkrótce przyśle ostrą notę. Odbierająca bowiem natchnienia z urzędu kanclerskiego berlińska *Post* tak groźnie przeciw nam wystąpiła, jak gdyby miała zamiar wkrótce poprzeć słowa czynem. Burzę sprowadziła na nas głównie... pani Zimajer i Mierzwiński. Ton gazety pruskiej brzmi wprost wojowniczo. „Sprawa — mówi ona, w istocie jest *nader poważną*. Nie myślimy wspomnianym osobom zaprzeczać talentu i znaczenia, lecz każdy polak i każda polka, a *zwłaszcza tak ujmująca* jest kawałkiem emisaryusza i propagandzisty. Widzieliśmy już, że bardzo niewiele brakowało. a Matejko byłby za swój prusożerczy obraz otrzymał pierwszy medal złoty na wystawie sztuk pięknych; a pewnym być można, że polacy każdy poklask, dany jednemu z nich, uważają za *pobudkę do buntu*.“ Jeżeli po tym alarmie nad granicę polską sztab pruski nie posłał kilku korpusów, zawdzięczamy to chyba jedynie drugiej gazecie niemieckiej, *Berl. Börs. Courrier*, który upomniał kolegę, że publiczność berlińska, zasypująca kwiatami Mierzwińskiego, wychodząc z teatru—„nie była usposobioną do natychmiastowego wskrzeszenia Polski, powabne zaś kuplety pani Zimajer również nie odrodzą królestwa Piastów i Jagielonów.“

Szanowna pani Zimajer. Prawda, wyrządziliśmy ci przykrość wielką, bo aż musiałaś bronić się w drukowanych plakatach; ale na wszystko, co kochasz, zaklinam cię: wracaj do Warszawy, jeżeli nie chcesz naruszyć pokoju europejskiego, zakłócić stosunków międzynarodowych, a nadewszystko obarczyć nas ciężką odpowiedzialnością za nieuniknioną wojnę.

Przypuszczam, że najstarszy i najdoświadczeńszy człowiek, umierając, spostrzega jeszcze coś, co go zdumieniem przejmuje. Włosy już mi siwieją, a jednakże nie przypuszczałem, ażeby dziennik poważny, którego sądy bywają ważone i roztelegrafowywane, przygotował dla swych czytelników na gwiazdkę taką kolosalną brednię. Uważać p. Zimajer za emisaryusza polskiej propagandy, widzieć w jej tryumfach zachętę dla nas do buntu— nie, trzeba ożenić gniew z głupotą, ażeby się urodził taki pomysł. Za kogo u licha uważa nas ta berlińska idyotka, przypuszczając, że dowiedziawszy się o tryumfach śpiewaków, zaczniemy na tej podstawie knuć spiski? Jezu Chryste, czy ty i za takich kpów cierpiałeś, bo owa *Post* nazywa się także „chrześciańską!“

Lekarze nasi uczcili zasługi Hoyera, który umieszczał swoje prace również w pismach niemieckich i był przez nie cenionym. *Post* o tem nie wie, bo miałaby jeden więcej dowód „polskiej propagandy,“ zwłaszcza że p. Matlakowski w *Gazecie lekarskiej* mocno zaakcentował dbałość jubilata o naukę krajową. Niezależnie od tej możności posądzenia, przyznać trzeba, że młodzi lekarze warszawscy nagradzają sowitem uznaniem zasługi starszych. Szkoda tylko, że płacą im dług wdzięczności po części kosztem innych, którzy już za 25 i 50 lat pracy odebrali swoją należność lub ją odebrać mają. Czytając poświęcone jubilatom życiorysy, zdaje się, że ich głowy promieniowały w zupełnej ciemności, a nawet, że dotąd są jedynemi światłami w powszechnym mroku. P. Matlakowski, uniesiony szlachetnym zresztą i szczerym zapałem, wyrzekł nawet, że „w pawilonie, gdzie się obecnie znajduje pracownia Hoyera, *koncentrowało się naukowe życie w Królestwie polskiem* (za Szkoły Głównej)“ Szan. panegirysta przypuszcza widocznie, że „nauką“ jest tylko medycyna i że w tej medycynie pracownia Hoyera była stacyą centralną, od której rozchodziły się druty telefoniczne do wszystkich lekarzów. W biografiach jubileuszowych dozwoloną jest przymieszka przesady, ale zdaje mi się, że p. Matlakowski użył za dużej.

Nadchodzą święta—nowy rok—czegoż życzyć wam, czytelnicy, winienem. A więc życzę, ażeby nas wszystkich mniej okradano.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dalszy ciąg narzekań.—Co jednego cieszy, to drugiego smuci.—Ludzie i święci, którzy wszystkim dogodzić nie mogą.—Dalszy ciąg rozbojów.—Waleczny ksiądz.—Mściwy odwet.—Trudności dla sumienia.—Brak lekarzy na prowincyi.—Sprzedaż akt dawnych na funty.—Dziwy w „Zgodzie,“ które przestały być dziwami

Gazety roznoszą dalej echa smutku ziemiańskiego. Każda okolica, każda wieś niemal znajduje tłomacza swej niedoli, który do ogólnych skarg dołącza nową. A tak już korespondenci rozpędzili się w narzekaniach, że jeden płacze nad tem, czego drugi pożąda. Wszystko się sprzysięgło: w Kowieńskiem dokuczają silne mrozy, gdyż „zima zaskoczyła rolników niespodzianie“ (*Gaz. warsz.*), w Mińskiem znowu gnębi odwilż, która, „jeśli potrwa przez czas dłuższy, oziminy przepadną zupełnie.“ (*Gaz. pols.*) Dotąd mawiano, że taki człowiek się nie urodził, co by wszystkim dogodził; teraz, zdaje się, do przysłowia wciągnięci zostaną wszyscy święci. Bo gdy święty od mrozu dogodzi jednym, zasmuci innych; a podobny los spotka świętego od odwilży. Objaw to dosyć zrozumiały. Rolnik przedewszystkiem jest zależny od zmian atmosfery; w zwykłym biegu rzeczy—t. j. gdy korzec pszenicy dawał 9 lub 10 rs.—przeciwności te znoszono cierpliwie; ale teraz, gdy owa pszenica spadła do cen, jakie panowały w okresie wędrówki aryów z Azyi do Europy—zimna i deszcze przestały już być tylko nieprzyjemną rozmaitością i są klęską. Dziś ziemianin polski nie może pogodzić się z kapryśnym i surowym klimatem ojczystym; pragnie on jakichś idealnych warunków przyrodzonych, bodaj wiecznego ciepła i światła, któreby pozwoliło hodować ananasy i daktyle, zamiast źle płaconego zboża. Rzeczywiście toniemy w takim chaosie utyskiwań i rad, że chyba tylko natura jakimś nagłym przewrotem mogłaby rozwiązać „palącą kwestyę rolniczą.“

Tej żałobnej pieśni akompaniowały w ubiegłym tygodniu liczne odgłosy napadów złodziejskich. Rabusie wybrali sobie od pewnego czasu za cel swoich wypraw księży, przypuszczając zapewne, że słudzy boscy brzydzą się przelewaniem krwi nawet w własnej obronie. Rachuba ta wszakże zawiodła ich w Kępie polskiej (pod Wyszogrodem), gdzie proboszcz, uzbrojony rewolwerem, nadział ich kilkoma kulami.

Gdyby Walenty Sokół w Batorzu (pow. janowski) nie miał 72 lat, a natomiast posiadał rewolwer, byłby ocalił swe oszczędności, a nadewszystko nie uległ strasznej torturze. Złoczyńcy bowiem dusili go, piekli związanemu nogi, ażeby wymusić wskazanie miejsca, gdzie ukryto pieniądze.

Mściwy odwet, połączony z okrucieństwami, jest bezwątpienia czynem dzikości. Aleź odpowiedzmy ciemnym, rabowanym, rozbijanym chłopom, co oni mają robić w obronie własnego życia i mienia, zwłaszcza gdy przez lata całe znosić muszą teroryzm rozboju? Właśnie sąd słucki rozpatrywać będzie taką okropną sprawę. We wsi Mokrany mieszkała rodzina, złożona z pięciu braci, którzy całą okolicę—włościan i szlachtę—trzymali w postrachu. Nakładali oni formalne podatki, ściągali daniny, wyznaczali sobie nawet pastwiska—i nikt nie śmiał się im oprzeć z obawy „kary.“ Trwało to *lat kilka*. Nareszcie pewnego dnia zbóje porwali na ucztę w biały dzień cudzego barana, a gdy ten okazał się zbyt chudym, wybrali drugiego. Wtedy cała wieś, wzburzona tą zuchwałością, postanowiła wykonać srogą zemstę. „Okrążywszy dokoła izbę mieszkalną, jako też i zabudowania gospodarskie, należące do owej rodziny — opowiada korespondent *Gazety polskiej*—podpalono je w kilku naraz miejscach, nie wypuszczając przytem z ognistego koła żadnego z jej członków, ba, nawet nieletnich dzieci. Płomienie w jednej chwili objęły drewniane, słomą kryte zabudowania, a gdy znajdujący się wewnątrz łotrzy wydostać się z ognia usiłowali, rozwścieklent włościanie bili ich cepami i widłami. W ten sposób, częścią od ognia, częścią zaś pod razami, kilka osób śmierć poniosło.

Pociągnięci za powyższe przestępstwo do odpowiedzialności sądowej włościanie do winy się przyznali, lecz na pytanie sędziego śledczego: kto mianowicie należał i kto był głównym „prowodyrem,“ odpowiedzieli jednogłośnie: „wszyscy—od najstarszego do najmłodszego,“ oraz przytoczyli cały szereg długoletnich krzywd i niesprawiedliwości, doświadczanych przez nich od zbójecko-złodziejskiej rodziny.“

Co za wdzięczny materyał dla obrońców!—mówi *Gazeta polska*. Co za trudne zadanie dla sędziów przysięgłych!—powiemy my. Karać należy, ale jak tu karać odwet ludzi, długo tyranizowanych przez zbójecką bandę? Zaiste, sędziowie przy-

sięgli znajdują się często w położeniu, z którego nie ma wyjścia; sumienie musi na siebie wziąść odpowiedzialność za tolerancyę dla pogwałceń prawa.

Gdzie niema spręzystej strony bezpieczeństwa, tam rabuś musi być gospodarzem, a pokrzywdzony—sędzią; gdzie niema lekarzy, tam doktorem musi być znahor i znahorka, którzy kurują zapomocą „pewnej kosteczki z trupa wyjętej, ogona kota czarnego, krwi borsuka, wywaru z prosięcia ugotowanego żywcem i t. d.“ Właśnie taka medycyna—według korespondenta tejże *Gazety*—panuje w gubernii wileńskiej, gdzie nieraz „w promieniu mil kilkunastu niema ani jednego lekarza,“ gdzie on skutkiem tego jest tylko „zbytkiem bogatych.“ Włościanie czują nawet potrzebę rozumnej porady, składają się na felczera i aptekę, ale co oni, niezaradni i ciemni, poczną, gdy choroba przyciśnie, Bóg wysoko, lekarz daleko, a znahor blisko. Na ich miejscu może i my pilibyśmy krew borsuka lub wywar z żywcem ugotowanego prosięcia.

Zresztą chłop jest tylko na swój sposób ciemnym, ale nie posiada monopolu ciemnoty. Z Witebska *Gazeta warsz.* otrzymuje wiadomość, że tam miejscowe archiwum tysiącami pudów sprzedaje stare akty i dokumenty. „Odnoszą się one przeważnie do wieku przeszłego i kończą się rokiem 1808, a wszystkie przechowały się bardzo dobrze. W latach 1881—83 archiwum witebskie sprzedało już żydowi Günzburgowi około trzech tysięcy pudów starożytnych dokumentów po 1 rs. 18 kop. za pud. Akty sprzedane należały przeważnie do XVI i XVII wieku, a nawet aż do 1732 r. Podobne postępowanie i wyprzedaż na pudy aktów nader cennych zwróciło uwagę prasy rosyjskiej i wyższych sfer rządowych.“ Chłop z tych papierów nie zrobiłby gorszego użytku, owszem, może nawet lepszy, gdyby sobie nimi wykleił ściany i kuferki.

Stowarzyszenie spożywcze „Zgoda“ w Płocku zapewne liczy na to, że kiedyś jej akty sprzedane zostaną w ten sposób i że zatrze się dla potomności wszelki ślad działań tej wzorowej instytucyi. Niedawno donosiłem o daremnych wysiłkach jej zarządu, który nie może sprowadzić na zebranie bodaj kilkunastu członków—z pierwszego piętra na dół. Tym razem zeszło się ich nieco więcej, ale nie dorachowali się ustawą przepisanego kompletu. „*Najdziwniejsze* to—powiada jedno z pism—że brakowało właśnie tych kilku członków, których obecność na zebraniu była nietylko najważniejszą, ale i obowiązkową.“ Przepraszam: 1) u nas wogóle nic nie może być „najdziwniejszem,“ gdyż nie wiadomo, jaką niespodziankę jutro kryje w swem łonie; 2) w płockiej „Zgodzie“ wszystko już „najdziwniejszem“ być przestało, bo nawet zgoda, z jaką członkowie zebrań „ważnych“ i „obowiązkowych“ unikają.

A. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 23 grudnia.

Wielka polityka wyjechała z Europy. Pomijając nawet konferencyę afrykańską, której przedmiot „nie jest z tego świata,“ zaszły dwa wypadki, które odciągnęły uwagę dyplomacyi na dalekie krańce. Naprzód powstanie w Korei. O co tam się wodzono za czuby—dokładnie nie wiadomo. Ludność zbuntowała się i wyrżnęła rodzinę królewską i ministrów — ale z jakiego powodu? Przypuszczać by można, że był to objaw nienawiści do obcych, europejskich wpływów, którym rząd ulegał, ale cudzoziemcy wyszli z tej rewolucyi dość szczęśliwie. Nie w kwestyi przyczyny wszakże spoczywa waga wypadku. Korea formalnie należy do Chin, które nie chciałyby jej stracić; przewidywaną zatem jest ich łagodność w sporze z Francyą, tem bardziej, że państwo niebieskie obawia się pożądań ze strony Rosyi. Korea posiada kopalnie miedzi, węgli kamiennych, siarki, arszeniku, merkuryuszu, ołowiu, marmuru—ma więc dość wdzięków do wzbudzenia... miłości w sąsiadach. Nawet w Niemczech podniesiono niedawno myśli „wzmocnienia stosunków“ z bogatym krajem. Z jaką energią Niemcy rozwijają politykę kolonialną, przekonywa świeża wiadomość, że chorągiew swoją zatknęły na rozmaitych wyspach Oceanu Spokojnego i w Nowej Gwinei. Jest to niespodzianka, nad którą zwłaszcza John Bull zamyślił się bardzo poważnie. Trudno dziś przewidzieć jakie powodzenia osiągnie ks. Bismark w tym kierunku; ale to pewna, że z właściwą mu śmiałością i siłą podejmie kolonizacyjne przedsięwzięcia. Zdaje się, że porzucił on już zamiar rozszerzania zdobyczy w Europie i szuka ich po za nią, zatrzymawszy sobie w naszej części świata tylko rolę superarbitra w procesach międzypaństwowych.

Cisza przedświąteczna zaczyna powoli wstrzymywać koła maszyn politycznych. Parlamenty zawiesiły swą działalność, ambasadorowie wyjeżdżają na urlopy, gazety przeżuwają trawę dawniej usuchniętą. Tylko Austrya ma na święta niewyczerpany temat do rozmyślań. Klasyczna ta ziemia krachów doczekała się znowu olbrzymiego nadużycia pieniężnego. Dyrektor dolno-austryackiego towarzystwa dyskontowego, Jauner, zrobiwszy 3 miliony blisko deficytu, uciekł a wreszcie zastrzelił się. Sprawował on swe obowiązki dwadzieścia kilka lat, posiadał szerokie zaufanie, jego więc przeniewierstwo spadło jak grom nieoczekiwany. Przy samobójcy znaleziono kartkę, w której lakonicznie uwiadomił, że na złą drogę wprowadził go niejaki Kauffler. Tego człowieczka weksli znaleziono w banku podobno za milion guldenów. Przez kilka dni giełda, zaniepokojona tą stratą, rozpuściła popłoch; dopiero gdy rada zarządzająca ogłosiła, że pokryje wszystkie zobowiązania, zaufanie wróciło.

Naturalnie rubel, czuły na wszystkie, nawet najodleglejsze wypadki, dowiedziawszy się o nadużyciu Jaunera, spadł, tem bardziej, że kilkunastodniowem dźwiganiem się w górę był bardzo zmęczony.

Donosiliśmy już o wyłowieniu gniazd socyalistycznych w Linzu i innych miastach Austryi. Odkrycie ich nastąpiło skutkiem doniesienia z Zurychu, że garść anarchistów, mająca główną siedzibę w Winterthur, wysłała kilkunastu członków swoich do Austryi z tajną prasą, petardami, pociskami dynamitowymi i pismami podburzającemi. Daremnie ich poszukiwano w Wiedniu. Dopiero policya peszteńska doniosła, że główna kwatera anarchistów ma być w Linzu. Uwiadomiła też policya z Linzu, że kręcą się obcy ludzie, wydalają się w nocy, robią wycieczki do sąsiedniej Bawaryi, wydają znaczne pieniądze, odbierają listy z Szwajcaryi i Ameryki. Z listów pochwyconych przekonano się, że odbierali proklamacye anarchiczne. Z Wiednia wysłano przeto komisarza Breitenfelda i kilku ajentów. Ci z pomocą miejscowej policyi i dziesięciu żandarmów odbyli rewizye w nocy z piątku na sobotę oraz z soboty na niedzielę. Skutkiem tego aresztowano na przedmieściu Unfahr, po lewej stronie Dunaju, kilku rękodzielników nazwiskiem: Doleżal, Schroedel, Schenk, oraz znaleziono całą prasę drukarską, obfity arsenał narzędzi morderczych, bomb, pocisków itp. Pociski są trojakiego rodzaju w puszkach blaszanych z homarów, z napisem: *Kronhummer*, czarny dynamit, rury szklanne z nitrogliceryną. Aresztowanych przesłuchano niezwłocznie; pokazało się, że byli wspólnikami, przechowującymi zbrodnicze narzędzia, ale nie głównymi sprawcami. Przybyli z Szwajcaryi ajenci, którzy mieszkali w Unfahr, zdołali ujść, dowiedziawszy się, że w mieście zaczęły się rewizye; wysłano jednak pościg ku granicy bawarskiej i schwytano ich. Nazwiska dotąd niewiadome.

Paryż. Francuzi zajęli ważny punkt strategiczny Vohemar na Madagaskarze.

Bukareszt. Rząd rumuński wydalił z Turn-Severynu byłego archimandrytę Wazapelagicza, który utrzymywał stosunki z radykalistami serbskimi.

Petersburg. Według *Birż. Wied.* ministeryum finansów nie zatwierdziło towarzystwa (Poljakowa), mającego na celu wykupienie wszystkich kolej rosyjskich.

Berlin. Gazety, zwłaszcza narodowo-liberalne, wyzyskują uchwałę sejmu, odmawiającą kanclerzowi 20,000 marek dla utworzenia posady trzeciego dyrektora ministeryum spraw zagranicznych. Lżą one postępowców, katolików itd., wzywają do publicznej składki, podburzają ludność, ogłaszają adresy do Bismarka, na które on odpowiada.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta polska, rozbierając dość niejasno powody wystąpienia ks. Bismarka w sejmie niemieckim przeciw polakom, powiada:

„Poznańczycy nie przestali być polakami, nie przekształcili się w niemców, a tem samem, system germanizacyi po kilkudziesięciu latach ujrzał się w daleko gorszem położeniu, niż wtedy, gdy robotę swoją zaczynał. Dawniej można było jeszcze łudzić się, że szlachta jedynie stawia tym usiłowaniom opór. Spodziewano się, że, gdy lud uczyć się będzie pod kierunkiem pedagogów urzędowych i pod wpływem obowiązującej wszędzie niemczyzny; gdy duchowieństwo odbierze wyższe wykształcenie w zakładach, niemieckiemi dążnościami natchnionych — germanizacya pójdzie gładko. Ale i chłop poznański zdobył już znaczny stopień oświaty i ksiądz polski nie ustępuje niemieckiemu w zasobach wiedzy — a germanizacya, jak nie szła tak i nadal gładko nie idzie. Przeciwnie, jest z nią coraz gorzej (!). Lud o własnych siłach już się jej opiera, duchowieństwo zaś tak mało przeniknęło się duchem pruskim, że aż uznano za właściwe wydać głównie dla niego prawa majowe i ustawę banicyjną. Koloniści niemieccy nawet, na których tyle rachowano, przywiązują się do ziemi polskiej serdeczniej, niż to widokom germanizacyjnym odpowiada. Ministrowie, urzędnicy w Poznańskiem, inspektorzy szkolni utrzymują, że liczba młodzieży z nazwiskami niemieckiemi, lecz uważającej się za polską, i uważanej za taką przez swoich rodziców, zapisanych w metrykach niemieckich, ciągle się zwiększa. Robi to złe wrażenie w Berlinie, i skłania niepozwalającego sobie imponować kanclerza do snucia nader pesymistycznych horoskopów. Tylko, cóż na to poradzić ostatecznie? W starem haśle: „polacy zawsze są winni, polacy nigdy nie mają racyi,“—daremnem byłoby szukać lekarstwa na przewidywane trudności. Doświadczenie wskazuje, że tam środka tego niema, że stara maksyma była błędną i do ujemnych też doprowadziła rezultatów“.

Mogłoby to wszystko od biedy przestraszyć ks. Bismarka, gdyby było prawdą. Ale, niestety, zbyt optymistycznie patrzy na wzmacnianie się narodowości polskiej w Prusach i nie widzi faktów cał-

kiem przeciwnych (np. uszczuplanie się ziemi itp.).

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia, rozmyślając nad zwrotem czechów ku węgrom, boleje:

„Narodowość czeska ukrzepiła się w bieżącym wieku być może *tylko* na mocy tego, że po rozdziale Polski rosyjskie cesarstwo zetknęło się bliżej z niemiecką państwością w Prusach i w Austryi, urównoważyło ich wpływ na słowian zachodnich i południowych i zaczęło ukracać i tamować *Drang nach Osten* w plemieniu niemieckiem. Skądże nagle zjawiła się potrzeba obrony przeciw „rosyjskiemu kołosowi"" w czechach, którzy korzystali z jego narodowości i politycznej opieki? Nietrudno odgadnąć tej zagadki w nowym czeskim programie. Występując jako czynni politycy w monarchii Habsburgów, czesi porozumieli się najpierw z polakami a obecnie także z węgrami. Wzajemność taka wszystko wyjaśnia; po pomoc polaków i węgrów czesi nie poszli z próżnemi rękami; ze swojej strony obiecali pomagać polakom i węgrom w walce z „„politycznym panslawizmem"". Niewszyscy naturalnie, ale bardzo wpływowi politycy czescy, wraz serbami znaleźli się w obozie nieprzyjaznym Rosyi i rozumie się muszą śpiewać jedną piosnkę, jakkolwiek fałszywie ona brzmi. Niemożna zamykać oczu na dosyć jasny fakt: duchowe odszczepieństwo w świecie słowiańskim się wzmaga".

O, tak, wzmaga się...

Rusk. Kurier podnosi następujące oskarżenie przeciwko *Now. Wremieni*.

„Czytając artykuły *Nowego wr.*, zapełniane wymyślaniem i potwarzą na polaków i na wszystko, co polskie, niekiedy mimowolnie ulegamy chęci rozwiązania zagadki: czy rzeczywiście kochają Rosyę panowie pisarze, produkujący się w rzeczonym dzienniku? W istocie, wystawmy sobie Polaka, obecnie jest takich wielu, szczerze kochającego Rosyę, jako wspólną wszystkich mieszkających w niej ojczyznę, sympatyzującego z wielu rysami charakteru rosyan, zachwycającego się utworami rosyjskiego piśmiennictwa; jakie, zapytujemy, uczucia prócz nieprzyjaźni, wywołać może w nim odczytywanie wymyślań, potwarzy przeciw wszystkiemu, co polskie, tak obficie przyozdabiających szpalty *Now. wr?* Przed tego polaka oczami, że tak powiemy, z błotem miesza się wszystko, co polskie: religię, obyczaje, mowę, dzieje, piśmiennictwo polaków; wszystko bez żadnej ceremonii sponiewierane. Otwarcie się mówi, że narodowość polską zmazać należy z oblicza ziemi bez śladu i raz nazawsze. Cóż dziwnego, że wszystkie najlepsze uczucia, nabyte skutkiem długiego obcowania z rosyanami, rozczytywania się w pisarzach rosyjskich, znikają wówczas, a zamiast uczuć miłości i pojednania rodzi się inne: uczucie pokrzywdzonej w najgłębszych i najświętszych podstawach swych godności narodowej. Stąd też powiadamy, że działalność *Now. wr.* skierowana jest właśnie do tego, ażeby, podsycając uczucie nieprzyjaźni, przeszkadzać wszelkiemu możliwemu zbliżeniu się rosyan z polakami. Przypuśćmy, że nie wszystkie gazety rosyjskie podobne są do *Nowego wr.*, i niewszyscy rosyanie podobni Suworinowi *et consortibus*; są i tacy śród nas, którzy w istocie rzeczy mogą zniewolić polaków do pokochania Rosyi i których nazwalibyśmy istotnymi rusyfikatorami; lecz, niestety, głosy ich tłumione są przez zwycięskie dźwięki chlewne; nie dziwmy się tedy, że liczni polacy żywią przekonanie, iż gazety w rodzaju *Now. wr.* uważać należy za probierz do sądzenia o wszystkich rosyanach".

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza odbył wreszcie posiedzenie pod przewodnictwem prezydenta d-ra Szlachtowskiego. W nazwisku tem mamy może rozwiązanie zagadki tego zwlekania: komitet chciał mieć zapewne nowego burmistrza, przystającego wszystkimi bokami i kątami do stańczykowskiej normy, a dr. Szlachtowski dopiero w tych dniach objął swój urząd. Zebrano więc dotąd na pomnik 109,462 zł r. 49 c., na przewiezienie zaś zwłok 1802 zł. r. Ponieważ na konkurs nadeszły tylko trzy modele, więc odroczono jego termin do 1 lutego r. p. W końcu zaś tego miesiąca mają być wybrani sędziowie.

Wystawa przemysłowo-rolnicza, niezależnie od wystawy inwentarza, ma być urządzoną w czerwcu.

Projekt nowej ustawy kasy emerytalnej dla urzędników kolei Terespolskiej został wypracowany i rozesłany im do rozpatrzenia i głosowania.

Bibliografia polska. K. Promyk. *Gość*, kalendarz na r. 1885, k. 15.

— F. Schiller. *Dzieła* z ilustracyami, Lwów, H. Altenberg, zeszyty 21 i 22.

— C. Neyman. *Materyały etnograficzne* z okolic Pliskowa w powiecie lipowieckim, zebrane przez pannę Z. D. (Odbitka z Zbioru Wiad. do antr. kraj. Akad. umiej.). Kraków.

— Tenże. *Notatki archeologiczne* z Ukrainy (odbitka z tegoż Zbioru). Kraków.

— *Lira polska* zeszyt 6, zebrała Marrené, Warszawa.

Gazeta rolnicza wyznaczyła konkurs z nagrodą rs. 300 za rozprawę: „W jaki sposób prowadzić nadal gospodarstwa, aby wyrównać w nich niedobory powstałe w skutek obniżenia cen ziarna a głównie pszenicy?".

Nagrodzoną będzie tylko taka praca, która, uwzględniając miejscowe stosunki, poda wskazówki i rady praktyczne, łatwo bez wielkich nakładów i przewrotów wykonalne i która uznaną zostanie przez biegłych za istotnie dla krajowego rolnictwa pożyteczną.

Nagrodzona rozprawa drukowaną będzie w *Gazecie rolniczej* za oddzielnem wynagrodzeniem autora podług stale przyjętej normy. Rozmiary jej nie powinny przechodzić 2—3 arkuszy druku. Termin ostateczny nadsyłania: do 1 czerwca 1885 r.; adres: Redakcya Gazety Rolniczej, Warszawa, Ś-to Krzyzka Nr. 16.

Dr. Jan Hanusz, znany z artykułów lingwistycznych (*Ateneum*), habilitował się w Wiedniu rozprawą: „Charakterystyka oddzielnych gałęzi szczepu indo-europejskiego". Ma on objąć w uniwersytecie krakowskim katedrę sanskrytu.

Wielka burza nawiedziła Wiedeń, zrządziwszy liczne szkody. Był to uragan nadzwyczajnej siły.

Akademia francuska wybrała trzech nowych członków, mianowicie: historyka Wiktora Duruy na miejsce Migneta, J. Bertranda na miejsce chemika Dumasa i Ludwika Halevego na miejsce Haussonville'a.

Słowo, pismo rusińskie, wychodzące we Lwowie, utraciło debit w Węgrzech.

Nowy podział doby na 24 godziny jest zagranicą silnie popierany, zwłaszcza przez astronomów. Kto wie, czy nie miałyby już pokupu zegarki, według tego systemu urządzone?

Medycyna zbogaciła się nowym środkiem znieczulającym, kokalną (*cocainum muriaticum*). Środek ten wypróbowano naprzód w Wiedniu, zwłaszcza przy operacyach okulistycznych, a obecnie już jest on z powodzeniem stosowany u nas.

Statystyka. Według danych urzędowych, w Cesarstwie i Królestwie Polskiem znajduje się 22,770 wiejskich szkół elementarnych, utrzymywanych przez rząd, gminy lub osoby prywatne. Do szkół tych uczęszczało w r. z. 1,140,915 uczniów płci obojej, a mianowicie 904,918 chłopców i 235,997 dziewcząt. Liczba nauczających wynosi 36,955, czyli 19,511 nauczycieli, 4,878 nauczycielek i 12,566 duchownych wykładających religię. Jedna szkoła, licząc średnio we wszystkich guberniach, wypada na 560 mieszkańców. W okręgu kijowskim i odeskim wypada 1 szkoła na 7 wiosek, w petersburskim zaś na 29, a w wileńskim na 33 wiosek. Okrąg warszawski posiada 2,297 szkół, a zatem przypada 1 szkoła na 13 wsi. Utrzymanie wszystkich szkół elementarnych wiejskich kosztuje rocznie 6,158,155 rs.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Hermanowi F. w Rydze. Żadnego nie wydaliśmy.

L. B. E. Orzeszkowa, Grodno.

J. F. Historya lit. polsk. Kuliczkowskiego i Spasowicza, *Dzieje polski* Bobrzyńskiego i Szujskiego; *Gramatyka* Małeckiego a nadewszystko czytanie wzorowych pisarzów polskich.

P. Dąbr. w Sokołowie. Prawdopodobnie Chmielowskiego o literatkach polskich.

Sprostowanie. W poprzednim (51) numerze *Prawdy* do „Objaśnień tablic statystycznych," na str. 616, szpalta 1, wiersz 31 od góry, zakradła się omyłka drukarska, mianowicie: wydrukowano „231 miliony berkowców," powinno zaś być: „około 23 milionów (właściwie 22,897,076) berkowców buraków."

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Декабря 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.